



Jennifer Drew

Pora się żenić!



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Coś zje, uściska pannę młodą i rozejrzy się za jakąś dziewczyną. No, może nie w tej kolejności.

Cole Bailey zaparkował daleko od wielkiego budynku w stylu Tudorów. Nie był zaproszony, więc nie chciał, by jego pikap zwrócił uwagę obsługi tego wiejskiego klubu w pobliżu Detroit.

Chyba miał źle w głowie, gdy się zgodził zagrać w orła czy reszkę o to, który z nich, on czy Zack, jego brat bliźniak, ma się pierwszy poddać bezsensownemu żądaniu dziadka i ożeni się.

Teraz problem polegał na tym, by się gładko wślizgnąć na wesele siostrzenicy przyjaciółki jego matki. Nawet nie pamiętał jej nazwiska. Nic dziwnego, był po prostu wściekły na Marsha Bailey, ojca matki.

Na parkingu stało tyle pierwszorzędnych wózków, co w salonie sprzedaży jakiegoś wielkiego dealera, ale na tym to polegało. Na tego rodzaju uroczystościach przyjaciółki panny młodej chcą się zabawić. Nie ma jak wesele, nieśmiałe dotąd panienki stają się nagle zuchwałe i zaczynają rozrabiać. Niestety, nie o to teraz chodzi. Nie przyjechał po to, żeby się bawić.

Cholera! Jak ten stary wariat mógł rodzinie zrobić coś takiego? Obaj z Zackiem mają się ożenić, bo jak nie, to

dziadek po prostu sprzeda akcje rodzinnej firmy. A to by się równało przekazaniu w obce ręce akcji kontrolnych firmy BAILEY - WYROBY DLA DZIECI. Z punktu widzenia Zacka i Cole'a było, to bez znaczenia, ponieważ prowadzili własne przedsiębiorstwo budowlane, ale dla matki byłby to wielki cios. Teraz firma była dla niej wszystkim, zarządzała nią równie dobrze, jak kiedyś jej ojciec.

Tylko tak tępy facet jak Marsh Bailey mógł sobie wyobrazić, że firma będzie szła lepiej, kiedy pokieruje nią mężczyzna. Ale mylił się, sądząc, że małżeństwo zrobi menedżera z któregoś z trzech jego wnuków - bliźniaków i Nicka, ich przyrodniego brata.

Przed wszystkim jak mógł coś takiego zrobić jedynej córce? Od czasu gdy dwa lata temu zmarł ojczym, matka Cole'a kierowała firmą. Aby zachować kontrolę nad firmą, gdy już nie stanie dziadka, potrzebowała przynajmniej głosów przysługujących akcjom, które mieli odziedziczyć synowie. Nick miał szczęście, bo jeszcze był w college'u, więc Marsh nie jego przyciskał w sprawie żeniaczki.

Cole poruszył ramionami skrzępowanymi marynarką. Jego ciężką fizyczną pracę we wspólnej z Zackiem firmie widać było w ramionach. Wsunął palec za kołnierzyk białej koszuli i poluzował staromodny krawat w kolorze wina. Miał dwadzieścia osiem lat i przez całe życie starał się udowodnić dziadkowi, że nie jest kimś takim jak Stan Hayward, jego własny ojciec, którego nigdy nie widział. Już Marsh się o to postarał. Kazał Stanowi zmykać, grożąc więzieniem, jeśli się tylko znajdzie w pobliżu jego córki, siedemnastolatki w ciąży. Na świadectwach urodzenia dzieci figurowało tylko nazwisko Bailey.

Cole parsknął niechętnie i poszedł w kierunku budynku klubowego. Przegrał z Zackiem w orła i reszkę. Jako pierwszy miał sobie znaleźć żonę.

Cole zatrzymał się, zachwycony jednym z najpiękniejszych wozów sportowych, jakie zeszły z linii produkcyjnej w Motor City, ale przecież dobrze wiedział, że gra na zwłokę. Ochotę na to przyjęcie miał mniej więcej taką jak na łyknięcie trucizny. Wszystko, co było związane z przyjęciami weselnymi, psuło mu gruntownie nastrój, zwłaszcza zaś to, że w niedalekiej przyszłości miało dojść do jego wesela. - O, mógłby mi pan pomóc? - usłyszał kobiecy głos. - Proszę pana, tylko na chwilę.

Pobiegł wzdłuż rzędu samochodów, ujrawszy różową suknię z bufkami i spódnicę wielkości namiotu cyrkowego. Musiała to być drużna panny młodej, bo tylko drużna mogła wystąpić w czerwcu w stroju odpowiednim na Halloween. Gdy znalazł się bliżej, zrozumiał, o co chodzi. Wieko bagażnika przytrzasnęło taftowe szarfy.

- Zaczepiła mi się spódnica - usłyszał głos zza pudła wielkości pralki, owiniętego w kolorowy papier - a kluczyki wpadły mi pod samochód.

- Proszę mi to dać.

Postawił na ziemi pakunek, ogromny, ale niezbyt ciężki.

Dziewczyna odwróciła się i, aby odzyskać kluczyki, popchnęła je czubkiem różowego satynowego pantofelka, w efekcie czego wpadły jeszcze głębiej pod samochód.

Cole schylił się i macał ręką, aż znalazł kluczyki wraz z przywieszką do mocowania ich u nadgarstka, z czego jak widać dziewczyna nie skorzystała. Oddanie kluczyków zajęło kilka sekund dłużej, niż to było konieczne, ponieważ schy-

lony ujrzał coś godnego podziwu. Jeśli te nóżki w całości były tak zgrabne, jak kształtne kostki, to przebranie tej dziewczyny w rodzaj waty cukrowej należało uznać za zbrodnię. Dawniej, kiedy połowę letnich weekendów spędzał na wesełach, wymyślił sobie, że główną rolą drухen jest wyglądać jak najgorzej po to, by panna młoda wyglądała jak najlepiej.

- Dziękuję, naprawdę bardzo jestem wdzięczna... O, to pan jest Bailey, jeden z bliźniaków! - stwierdziła. W jej głosie zabrzmiało większe zdumienie, niżby to wynikało z sytuacji.

Starał się dojrzeć jej twarz pod kapeluszem, który przypominał wszystko, tylko nie nakrycie głowy.

- Cole Bailey?

- Tak - potwierdził, zastanawiając się bez powodzenia, skąd ona go zna.

- Chodziliśmy razem do szkoły. Pamiętasz lekcje literatury?

- Byłem z tego najgorszy, powinienem był wybrać sobie coś innego.

- Pamiętam. - Zdjęła kapelusz, odsłaniając masę kasztanowych włosów skręconych w precelki. - Nic dziwnego, że mnie nie poznajesz. Fryzura, którą Lucinda wymyśliła dla drухen, nadaje się dla słodkich bobasków. Jestem Tess Morgan. Pomagałam ci przy Szekspirze.

- Tess Morgan? Nieee! - Pamiętał małą grubą Tess. Obaj z Zackiem specjalnie z niej żartowali, żeby zobaczyć, jak się czerwieni. Wtedy jej policzki płonęły.

- Myślę, że się trochę zmieniłam.

- No chyba!

Jedno się tylko nie zmieniło. Zarumieniła się, kiedy wy-

krzyknął to swoje „chyba”, które miało być komplementem. Pamiętał, że ją nazywali "Panną Prymuską".

- Pomagałam ci w lekcjach, bo mi obiecałeś, że mnie nie będziesz przezywał, kiedy zdasz do następnej klasy.

- No i co, dotrzymałem słowa? - Naprawdę niczego nie pamiętał.

- Ukończyłeś szkołę przede mną, więc myślę, że chyba tak. Tak czy owak, mógłbyś z łaski swojej otworzyć bagażnik? Czuję się jak idiotka, uwięziona przez własny samochód.

- Ależ oczywiście. - Otworzył klapę i wyciągnął szarfę.

- Dzięki.

Złapał się na tym, że się gapi i powtarza w myśli: To jest Tess Morgan, Tess bez żadnych wątpliwości. Była taka naiwna, chłopcy wołali na nią czasem „3ańka”.

- Pozwól, że ci ją zawiążę. - Sam się zdziwił swoją propozycją.

- Naprawdę? Nie wiem, czemu te szarfy są jak na hipopotama.

Poczuł się głupio, próbując zrobić kokardę ze śliskich wstążek, zwłaszcza że ta przytrzaśnięta w bagażniku pobrudziła się smarem.

- Dasz sobie radę?

- Pewnie, że tak.

Grzebał się, by zakryć zapaćkane miejsce. Nie było sensu o tym mówić. Jego zdaniem ta wielka kokarda strasznie psuła szczipłą sylwetkę dziewczyny.

- Czy Lucinda to twoja bliska przyjaciółka? - spytał. Już sobie przypomniał imię narzeczonej, ale nabrał wątpliwości co do jej charakteru. Kim trzeba być, żeby zmuszać przyjaciółkę, by pokazała się ludziom w takim stroju?

- Bardzo bliska. - Na tym skończyła. - Byłam już druhną tyle razy, że ludzie mogą pomyśleć, że to mój zawód.

- Czy mogę ci to ponieść? - Wskazał pudło z prezentem. Nie chodziło tylko o uprzejmość, wielka paczka mogła służyć jako bilet wstępu na przyjęcie. Nikt nie zaczepi faceta, który przychodzi w towarzystwie druhny, z wielkim prezentem pod pachą.

- Zrobisz to? To nic ciężkiego. Lucinda lubi wiklinę, więc kupiłam jej krzesło. Niestety, ten sklep nie odsyła zakupów.

Dla Cole'a to akurat było korzystne. Podniósł pudło i poszedł z dziewczyną w kierunku klubu. Jak to możliwe, że ktoś się zmienił tak bardzo, a jednocześnie tak niewiele? Zachowała swój nieśmiały uśmiech, ale nie pamiętał jej ust, pełnych, na pewno nie z powodu różowej błyszczącej pomadki, dobranej chyba do koloru sukni. Oczy miała bardziej niebieskie, ale może dziesięć lat temu nie patrzyła wprost na niego. Policzki rumiane jak jabłuszka bawiły ich obu z Zackiem, gdy się czerwieniła, ale teraz wcale nie była za gruba ani nie miała pyzatej buzi. Cera złocista, zgrabny nosek, wyraźne brwi, wszystko razem w dobrym wydaniu.

- Nie widziałam cię w kościele - zauważyła.

- Nie chodzę na śluby. Kawalerowie tego nie lubią.

- O, jesteś jeszcze kawalerem?

- Dziwi cię to?

- Trochę. Dziewczyny się za tobą oglądały bardziej niż za Zackiem, ale chyba nie powinnam ci tego mówić.

- To jemu nie powinnaś mówić. Zawsze uważał, że ma wielkie powodzenie.

- Czy Zack jest żonaty?

- Nie, obaj jesteśmy kawalerami. A ty? Wyszłaś za męża?

- Nie... Ale nie udawaj, że cię to zdziwiło:

Słabo zaprzeczył, ale rzeczywiście nie zdziwiło go to zupełnie. O ile dobrze pamiętał, nigdy w szkole nie miała chłopaka i prawdopodobnie ta jej niewinność odstraszała mężczyzn. Nie miało to nic wspólnego z wyglądem. Zawsze trzymała się z daleka, trochę zamknięta w sobie, może zbyt nieśmiała.

- Niełatwo spotkać kogoś odpowiedniego - rzekł ponuro, mając na myśli nierealistyczne oczekiwania dziadka. Może za jego czasów pełno było panien marzących o mężach, ale stary powinien się wreszcie obudzić. To wiek dwudziesty pierwszy! Znacznie łatwiej jest mieć partnera do zabawy niż kogoś na stałe.

Podeszli schodami do głównego wejścia wspianego budynku klubowego. Stiuki błyszcząły bielą, drewno zostało świeżo pomalowane na mahoń. Udało mu się wejść za Tess, z tym jej wielkim pudłem. Ochroniarze jak duchy kręcili się w czarnych garniturach, zrozumiał powód, gdy stojąc w holu zobaczył pokój, w którym składano prezenty. Panna młoda oprócz wikliny zbierała chyba też srebra i inne cenne przedmioty.

Poczekwała, aż Cole dyskretnie ulokuje jej podarunek wśród innych łupów Lucindy. W szkole był to kawał łobuziaka - zawsze wzdychała, ile razy oglądała jego zdjęcie w szkolnej księdze pamiątkowej - ale widać w końcu dojrzał i przestał płatać chłopiące figle. Teraz był po prostu wspianą, opalony, z lekko zmarszczonym czołem, ciemnymi brwiami, błyszczącymi oczami.

Parę minut temu wściekała się na Danny'ego Wilsona,

tego gada, który obiecał, że pójdzie z nią na to wesele, i nie dotrzymał słowa. Teraz cieszyła się, że popłynął gdzieś ze swoim szefem i klientami. Mała dosyć ludzi, którzy wpraszają się na obiadki, pożyczają pieniądze i nazywają ją „fajnym kumplem”. Wejście z Cole'em na wielką salę balową będzie małym, choć krótkim sukcesem. Był tylko jednym z dawnych kolegów, ale o tym nikt z obecnych nie musiał wiedzieć.

Cole wrócił szeroko uśmiechnięty.

- Dziękuję, że to zaniósłeś - powiedziała wesoło. - Teraz będę dawała w prezencie tylko ręczniki.

- Ręczniki też są dobre - odrzekł tonem, z którego wynikało, że uważa ten pomysł za beznadziejny. - Cieszę się, że jesteśmy razem. Takie wielkie przyjęcia, jeśli się nikogo nie zna, to nudziarstwo.

- Oczywiście z wyjątkiem młodej pary, ale młodzi tylko by patrzyli sobie w oczy.

Podał jej ramię. Wzięła go pod rękę. Potężny biceps napięty pod gładkim szarym rękawem marynarki zrobił na niej wrażenie.

Weszli do sali balowej, w której unosił się zapach wielkich pieniędzy, cieplarnianych kwiatów, drogich alkoholi i kosztownych perfum.

Opuścił ramię, a ona poczuła się osamotniona. No oczywiście, nie można przecież zakładać, że będzie przy niej sterczał przez cały wieczór tylko dlatego, że chodzili do jednej klasy.

- Wspaniała impreza. - W jego głosie brzmiała lekka ironia.

- Chyba tak.

Wydawało się jej, że na takich uroczystościach to on powinien czuć się bardziej swobodnie. Jego dziadek był przecież kimś bogatym i poważanym, bliźniacy, można powiedzieć, wyrosli w atmosferze luksusu. Nie żeby Tess nie była dumna ze swojej rodziny. Tata, trener gimnazjalny, wpajał jej, że wartości trzeba cenić bardziej niż wygrane, a mama uczyła czytać i pisać biedne dzieci, dla których było to jedyną szansą. Karen, starsza siostra, uczyła w trzeciej klasie, miała udanego męża i dwie cudowne dziewczynki, pięcioletnią Erikę i siedmioletnią Erin.

Tess była bardzo niezależna, miała naturalny dar przedsiębiorczości. Otworzyła na własną rękę dobrze prosperujący sklep z zabawkami dla dzieci i ostatnio przeprowadziła się do drogiego mieszkania w Rockstone Mail.

- Wolę przyjęcia w hotelach lub restauracjach - powiedział Cole, rozglądając się po ogromnej sali.

- Dziewczyny są weselsze, jak sobie troszkę wypiją? - zażartowała, zadowolona, że przy nim może mówić, co jej przyjdzie do głowy.

Roześmiał się.

- No właśnie.

Było to olbrzymie przyjęcie, ale goście przeważnie mieli powyżej czterdziestki. Rodzice Lucindy zaprosili mnóstwo przyjaciół. Tess nie zaliczała się do nich. Przyjaciółkami zostały z Lucindą tylko z powodu alfabetycznej bliskości na liście w szkole. Od pierwszej klasy L. Montrose i T. Morgan łączono w parę. Odnowiły przyjaźń, gdy tata Lucindy coś zrobił dla dyrekcji Rockstone Mail, w zamian za co jego córka zaczęła tam pracować w dziale reklamy. Po raz pierwszy w życiu Lucinda znalazła się w kłopotcie, nie mając żad-

nych zdolności, by zajmować się marketingiem. Nic dziwnego, że polegała na Tess i na jej radach.

Tess zerknęła na spory zegareczek, który udało jej się przemyścić, kiedy panna młoda kontrolowała stroje druhen. Naprawdę bardzo lubiła swoją przyjaciółkę z lat dzieciennych, ale ta uroczystość wyzwoliła w Lucindzie jakieś okropne instynkty. Sama będąc okragłutką blondynką, zaprojektowała dla swoich siedmiu druhen sukienki prosto z pokoju dzieciennego, w których wyglądały jak różowe dynie. Uważała, że to nada weselu oryginalny charakter.

Tess przyszła na przyjęcie z jedną myślą: jak najszybciej się wymknąć, byle nikt tego nie zauważył. Spotkanie z Cole'em sprawiło jej przyjemność, ale przewidywała, że zaraz porwie go któraś z tych drapieżnych kobiet. Wszystkie tylko się rozglądają, żeby urozmaicić sobie tę dość nudną w sumie uroczystość.

Na szczęście był bufet. Lucinda nie miała zamiaru dzielić z druhami blasku, który ją otaczał. Gdyby siedziały w pobliżu niej na honorowych miejscach przy stole, to musiałyby się z tym pogodzić. Niestety, jeszcze parę weselnych zwyczajów wymagało obecności Tess - druhnny brały do ręki bukiet i udawały, że to ich ślub, druźbowie przepychali się, by zdobyć podwiązkę, oboje młodzi wpychali sobie nawzajem tort do ust, chichocząc i krusząc kawałki. Właściwie po co kolejny raz została druzną na weselu? Jutro zanieś tę idiotyczną suknię do siostry i powie jej, żeby zrobiła dla dzieci kostiumy karnawałowe.

Podszedł do nich kelner z tacą.

- Wypijesz czy zatańczysz? - zapytał Cole, biorąc kieliszki dla obojga.

- Trudny wybór.
- A więc jedno i drugie. - Podniósł swój kieliszek. - Za szczęśliwą parę.

- Za zdrowie państwa Mentonów. - Wypiła łyżeczkę, a potem trochę więcej. Smakował znacznie lepiej niż ten, który podawano na zwykłych przyjęciach, przypominający ocet z bąbelkami. - Nie powiedziałaś mi, czy zapraszała cię panna młoda, czy pan młody.

- Lubię ich jednakowo - odrzekł. - To dobry szampan, na ogół jest okropny - dodał i wypił do końca.

- Przyjaźnisz się z obojgiem? To dziwne, że Lucinda nigdy mi o tobie nie mówiła.

Skończyła pić szampana i rozejrzała się, gdzie odstawić kieliszek. Cole wziął go od niej i postawił na tacy.

- Bardziej znam tego, no jak mu tam... Mentona.
- Doug. Ma na imię Doug.
- Chyba go właściwie nie znam - przyznał bezradnie.
- Czyli zaprosiła cię Lucinda? - To ją zaintrygowało.
- Niezupełnie. Moja mama przyjaźni się z jej ciotką.
- To dlaczego...
- No więc wydało się! - Dotknął palcem jej ust. - *We-* pchnąłem się tu. Nie powiesz nikomu?

Skinęła głową, a on odjął palec od jej ust, które dziwnie zaczęły mrowić.

- Ale po co?
- Tak sobie, dla zabawy. Zatańczysz?
- Czemu nie?

Z przyjemnością poddawała się, gdy prowadził ją, obejmując mocno w talii.

Taniec z Cole'em był niesłychanie... podniecający. Suk-

nia szeleściła, Cole podśpiewywał, w uszach jej szumiało. Czy to możliwe, żeby po jednym kieliszku szampana kręciło jej się w głowie?

- Co robisz? - spytał. Usta miał tak blisko jej czoła, że gdy mówił, czuła ciepły powiew.

- Jak to, co robię?

- Chodzi mi o pracę, zawód.

- Mam sklep w Rockstone Mail.

- Poczekaj, spróbuj zgadnąć. Kwaciarnia?

- Nie.

- Żywność dla zwierząt, słodycze dla piesków i smakołyki dla kotków?

- Nie, coś dla dzieci. Mój sklep nazywa się BABY MART.

Melodia skończyła się, członkowie orkiestry wstawali, żeby wyjść na przerwę. Akurat teraz musieli mieć przerwę!

- Jeśli chodzi o ścisłość, to BAILEY - WYROBY DLA DZIECI jest moim głównym dostawcą. Krzesła dla dzieci, które robicie, biją konkurencję na głowę - powiedziała z entuzjazmem, widząc wspólny grant, na którym zamierzała go jeszcze przez chwilę zatrzymać.

- To firma mojego dziadka - powiedział sucho. - My z Zackiem prowadzimy przedsiębiorstwo budowlane.

- To świetnie.

Rozmowa prowadziła donikąd, a on widocznie przestał się nią już interesować. No cóż, nie jest jej chłopakiem, chociaż przyjemnie pokazać się publicznie z takim wspaniałym mężczyzną.

- Bardzo dziękuję, miło się z tobą tańczy - powiedziała jakby od niechcienia. - Widzę tam znajomych i chciałabym

pogadać. - Wprawdzie nie było nikogo ze znajomych, ale to był wypróbowany sposób. Kiedy chłopak zaczynał rozglądać się ponad jej głową, wołała odejść pierwsza.

Skierowała się do przybytku wszystkich samotnych pań. Ach, żeby tak jeszcze w jej satynowym woreczku w kolorze sukni zmieściły się spinki do włosów. Patrząc na siebie w lustrze, miała ochotę rozpuścić swoje loczki-precelki i rozluźnić nieco sztywny nylonowy gorset, ale to nie mogło wystarczyć, by Cole Bailey zechciał odprowadzić ją do domu. Niestety...

No nie, skąd te myśli? Nigdy więcej szampana!

Pociągnęła usta pomadką i wyszła do holu, spędziła godzinę na plotkach z młodszą siostrą Lucindy, a potem wzięła sobie coś na talerzyk z bufetu i usiadła przy stoliku z ciotką-babką panny młodej, która cierpiała na alergię; nie mogła nic jeść, ani grejpfrutów, ani czosnku, ale za to bardzo lubiła o tym opowiadać. Tess przytakiwała ze współczuciem, zajądając się wędzonym łososiem, ale jednocześnie, wbrew samej sobie, wodziła oczami za Cole'em. Nie było to trudne. Jak na nieproszonego gościa był pewny siebie, wcale nie starał się zniknąć w tłumie. Przeciwnie, zajmował się najbardziej efektownymi paniami i cały czas miał partnerki do tańca. Cóż, zupełnie nieźle sobie radził.

Lucinda każdej ze swoich drухen przydzieliła jakieś zadanie. Rola Tess polegała na zorganizowaniu tradycyjnego polowania na ślubny bukiet. Klub był niegdyś pałacykiem kogoś bardzo bogatego, w holu frontowym schody były tak szerokie, że dałoby się na nich wystawić któryś z musicali. Lucinda miała zamiar stanąć wysoko nad tłumem i stamtąd rzucić wspinały bukiet storczyków.

- Weź mikrofon - dała rozkaz do boju, przesuając się obok Tess.

- A czy bym mogła.

- Tylko w ten sposób wszyscy cię usłyszą w tej wielkiej sali.

Wszystko zawsze musiało być tak, jak chciała Lucinda. Tess miała wielką ochotę się zbuntować.

- Nienawidzę mikrofonów.

Tess podeszła do głównego stołu i znalazła ten przeklęty przyrząd, który ojciec pana młodego uprzejmie przetestował. Mikrofon gwizdnął przeciągle.

- Proszę bardzo, panienko.

- Eee... panie... dziewczyny... - przez ten mikrofon tak się zdenerwowała, że nie wiedziała, jak zacząć. Orkiestra właśnie odbywała swoją czterdziestą trzecią przerwę, słychać było tylko gwar rozmów. - Czy mogę prosić o chwilę uwagi? Bardzo proszę!

- Troszkę głośniej, panienko...

- Teraz panna młoda rzuci bukiet!

W końcu to do nich dotarło. Tess zwilżyła językiem wargi i na tym chciała zakończyć komunikat.

- Panny na wydaniu proszone są do holu frontowego, pod klatkę schodową - zadysponowała zdumiona, że ojciec pana młodego wyrwał jej mikrofon z ręki.

- Chodźcie wszystkie, ślicznotki! Która panienka złapie bukiet?

Tess odeszła, zanim ojcu pana młodego wpadło do głowy, by przeprowadzić z nią wywiad w sprawie tego, czy chciałyby wygrać w tych zawodach. Tymczasem wcale nie chciała. Złapała już cztery razy bukiet panny młodej na czterech

wcześniejszych ślubach i wszyscy wiedzieli, że zawsze odda go państwu młodym. Było jasne, że czary nie działają na kogoś tak sceptycznego jak ona.

Ogłoszenie wywołało wielki ruch, bo Lucinda zaprosiła widocznie całą armię niezamężnych pań, aczkolwiek niektóre z nich liczyły na szczęście po raz drugi lub trzeci. Tak, niektórzy są uparci.

Hol był olbrzymi, posadzkę stanowiła czarno-białą szachownica. Na ścianach wisały stare portrety olejne w ciężkich pozłacanych ramach. Lucinda, podtrzymując tren, żeby się nie przewrócić, weszła na sam szczyt schodów, z których miała potem uroczyście zejść. Wystąpiła w jedwabnej kreacji w kolorze kości słoniowej, spódniczka uszyta była ze starej belgijskiej koronki. Wszystkie panny młode, jak zaobserwowała Tess, zawsze wyglądały pięknie. Lucinda też.

Teraz rolę Tess było ogłosić: Uwaga! - co gości miało wprowadzić w stan najwyższego podniecenia. Starła się stanąć z boku, by jej nie stratowano, lecz otoczyły ją panie walczące o dobre miejsce. Została ściśnięta ze wszystkich stron, z prawej kościstym łokciem szturchała ją jakaś dziewczyna, a para pantofelków na szpilkach wbiła się w jej stopy. Idiotyczna kokarda znów się rozwiązała, ale Tess była tak ściśnięta, że nie mogła nawet sięgnąć do tyłu, by ją zawiązać. Udało się jej rzucić okiem w stronę Lucindy, która z najwyższego stopnia schodów dała znak. Teraz!

- Panna młoda nadchodzi! - krzyknęła Tess, jakby tego nie było widać.

W lewe biodro walnęła ją jakaś osoba o kruczoczarnych włosach, ale Tess nie miała się gdzie cofnąć. Panie naciskały ją ze wszystkich stron. Lucinda zstępowała dostojnie, wi-

docznie dobrze to wyćwiczyła. Rzuciła kwiaty w połowie schodów z taką siłą, że bukiet przekoziółkował.

Tess wyciągnęła gwałtownie rękę, wcale nie po to, by łąpać kwiaty, ale bukiet leciał prosto na nią. Wszystkie próbowały sięgać, chwytać. Gdy dwie panny jednocześnie chwyciły delikatny bukiet egzotycznych kwiatów, wiązanka się rozerwała, a Tess o mało nie została przewrócona. Żadna panna nie chciała ustąpić. Ciągnęły do siebie, aż storczyki rozsypały się na posadzkę. Coś się rozdarło i Tess od razu się zorientowała, że jest niedobrze.

Tłum rozstąpił się. Pomruki niezadowolenia mieszały się z wybuchami śmiechu. Tess została sama, jej spódnica leżała bezładnie na posadzce, ponieważ nieszczęsne szarfy się rozwiązały. Wiedziała, że na wpół przezroczysta halka nie zakrywa jej różowych majteczek. Już kilku podrywaczy ruszyło w jej kierunku. Stanęli, udając, że oglądają jeden ze starych olejnych obrazów, wiszących na ścianie.

Sięgnęła do tyłu i zebrała trochę materiału, jednocześnie kierując się w stronę drzwi. Dla niej przyjęcie się skończyło. Nagłe poczuła na ramionach jakąś marynarkę i zobaczyła, kto jej przyszedł z pomocą.

- Chodźmy - powiedział Cole, obejmując ją.
- Bardzo chętnie!
- Idiotyczny zwyczaj. Wolałbym stado wilków niż taki wyścig do bukietu panny młodej.
- Ja o niego nie walczyłam. Miałam tylko za zadanie zwołać te wszystkie kobiety.
- No i zrobiłaś to doskonale - zażartował, otwierając drzwi wolną ręką.

Z przyjemnością ujrzała swój mały samochodzik, który

tak samo był nie na miejscu między mercedesem i lincolnem, jak i ona na tym przyjęciu.

- Wiele ci zawdzięczam - powiedziała. - Już dwa razy mnie uratowałeś.

- Nie dziękuj. Masz kluczyki do samochodu?

- Tak, i w dodatku tym razem jestem w stanie po nie sięgnąć. - Pogrzebała w torebeczce i wyciągnęła je, a Cole otworzył drzwi.

- Skoro mówisz o wdzięczności - powiedział, kiedy zdjęła marynarkę i wsunęła się na siedzenie - to jest jedna rzecz, którą mogłabyś dla mnie zrobić.

- Co takiego? - naprawdę ją zdziwiło, że Cole Bailey czegoś od niej potrzebuje.

- Zawsze miałas dużo przyjaciółek, jeśli dobrze pamiętam... Pewnie teraz też?

- Chyba. Nie zastanawiałam się nad tym.

- A czy któraś z nich... To znaczy, czy masz takie miłe przyjaciółki, które jeszcze nie wyszły za mąż?

- Nie prowadzę klubu dla starych panien! - Coraz mniej jej się to podobało.

- Przepraszam, nie w takim sensie... Mam uczciwe zamiary - uśmiechnął się smutno. - Naprawdę chciałbym poznać jakieś miłe panie.

- I dlatego wcisnąłeś się na to przyjęcie?

- Wesela to na ogół dobra okazja, żeby poznać... ludzi.

- Wydaje mi się, że szło ci nieźle. - Ugryzła się w język, zła na siebie, bo wypaplała, że zauważyła jego flirty.

- Chciałbym poznać kogoś w naszym wieku. To chyba naturalne?

- Jestem od ciebie o cały rok młodsza!

- Przyjąłem do wiadomości. Ale czy masz jakieś miłe przyjaciółki?

- Wszystkie moje przyjaciółki są miłe, na ogół. - Pomyślała o Lucindzie. - Ale nie umiem kojarzyć par w ciemno. W ten sposób można tylko stracić przyjaciół.

Większość znanych jej kobiet uznałaby zapewne, że Cole jest zbyt męski. Dziwne, że już jej teraz nie peszył. Zrozumiała, że on nigdy się nią nie zainteresuje, byli po prostu kumplami, więc poczuła się pewniej, nie jąkała się, nie zacięła, nie trzęsła.

- A może coś takiego... - Wyjął z kieszeni monetę. - Jak będzie orzeł, to przedstawię cię którejś z przyjaciółek. Jak reszka, to oprowadzę cię po wytwórni zabawek i będziesz mogła zobaczyć kilka nowych rzeczy, które będą w najbliższym czasie w sprzedaży.

Była to wielka pokusa, ale za bardzo mu nie ufała,

- Nie gram w gry losowe - powiedziała.

- A w co grywasz?

- W tenisa, ale z takim zawodnikiem jak ty nie miałabym szans. Czasami gram w bilard.

Nie powiedziała mu, że wychowała się, grając na ojcowskim stole bilardowym w piwnicy, ani o tym, że zimą brała udział w rozgrywkach ligowych.

- Niech będzie bilard. Gramy raz i koniec, czy dwie wygrane na trzy?

- Dwie na trzy. - Zwykle w drugiej była lepsza niż w pierwszej. Musiała mieć rozgrzewkę.

- Jadę za tobą. Gdzie zagramy?

- Zapomniałeś, że stałam się Kopciuszką, że moja sukienka balowa zmieniła się w łąchmany. - Jest trochę czasu, żeby

się wykręcić z zakładu, pomyślała. Wcale nie miała ochoty poznawać go z przyjaciółkami.

- Jeżeli się boisz, że przegrasz.
- Wcale nie!
- Pojadę za tobą do domu. Przebierzesz się i jedziemy do najbliższego baru z bilardem.

- Już późno, Cole.

- Jeszcze nie ma jedenastej.

- Miałam ciężki dzień.

- Nic nie szkodzi. Ja byłem w pracy od szóstej rano.

- Czy zawsze jest tak, jak ty chcesz?

Uśmiechnął się za całą odpowiedź. Poddała się, ale nie pozwoli mu wygrać!

ROZDZIAŁ DRUGI

Cole nie cierpiał czekać na dziewczynę, która się stroiła. To było tak samo trudne jak poszukiwanie kandydatki na żonę.

Powiedział więc Tess, że poczeka w swojej półciężarówce. Był jednak niespokojny, wprost nie mógł usiedzieć na miejscu. Wszedł z kabiny i, jak tylko Tess zniknęła w mieszkaniu na parterze, zaczął się przechadzać po parkingu. Mieszkała w jednym z około setki szeregowych domków z cegły. Każdy miał oddzielne wejście na poziomie parteru lub z galerii pierwszego piętra, prowadzącej wzdłuż budynku, ze schodami z obu stron.

Uważał, że jest to typowe miejsce dla osób samotnych i młodych małżeństw, a także ludzi starszych, którzy mieszkali tutaj ze względu na niższe ceny i tańsze utrzymanie domu. Tess przynajmniej nie mieszkała z rodzicami.

Zatrzymał się, by spojrzeć na zegarek. Może Tess jakoś mu pomoże, chociaż tak jej dokuczał w szkole. No, ale teraz są przecież dorośli, prawda? Na szczęście, chyba nie żywi do do niego urazy. Umie okazać przyjaźń bez tych wszystkich damskich sztuczek. No i może dzięki niej pozna jakąś miłą dziewczynę.

Najpierw musi wygrać. Będzie grał twardo, ale niezbyt

wysoko. Przecież jak ją pognębi, to trudno oczekiwać, że mu potem pomoże.

- Bailey, gdzie jesteś?! - krzyknęła. Zaskoczyła go. Sądził, że będzie czekał dłużej.

- Tutaj. - Wyszedł do niej spoza samochodów stojących za jego autem. Zauważył, że miała ze sobą pudło, które mogło zawierać tylko jedna rzecz. - To ty masz własny kij?

- Zimą grywam na zawodach. Jeśli nie chcesz grać...

- Ależ skąd!

Trudno mu było wyobrazić sobie Tess w klubach bilardowych, ale koniecznie musiał wygrać. Przynajmniej będzie ciekawiej. Nie opadną go wyrzuty sumienia, skoro poziom będzie wyrównany.

- Wsiądź, proszę. - Otworzył drzwi półciężarówki.

- Może pojedę swoim samochodem, a ty za mną. W ten sposób nie będziesz musiał mnie odwozić.

- Ależ wsiadaj. Mogę cię odwieźć.

W wewnętrznym świetle auta wyglądała jak dawniej, tylko lepiej, dużo lepiej. W obcisłych dżinsach prezentowała się ładniej niż w sukni drużyny weselnej. Wszystkie kędziorki zebrała w jeden koński ogon, który poruszył się, gdy wsiadała.

- Znam miejsce, gdzie bez długiego czekania dostaniemy stół - powiedziała.

Kiwnął głową i pozwolił się poprowadzić.

- Krawat ani marynarka nie są tam wymagane - ostrzegła go uczciwie.

- Jeszcze lepiej. Gdzie się nauczyłaś grać w bilard?

- Mój tata uwielbia tę grę. Ma stół w piwnicy.

- No, teraz zaczynam się niepokoić - zażartował.

- I słusznie. Czy zdarza ci się przegrywać?
Przegrał do Zacka w orła i reszkę.
- Nadal jestem kawalerem. Nie wygrałem jeszcze dziewczyny moich marzeń.
- A co ja mam właściwie dla ciebie zrobić? Oczywiście, nie zamierzam przegrać, ale chcę wiedzieć. Spodziewasz się, że ci zorganizuję randkę w ciemno?
- Może nawet kilka.
- Ale chyba nie chcesz łamać serc moim znajomym ot, tak tylko, dla zabawy?
- Mówię poważnie. - Zabrzmiało to ponuro.
- Czemu?
- Masz matkę. Wiesz, jakie robią się matki, gdy dostają bzika na punkcie wnuków - palnął, *co mu* wpadło *do* głowy. Żądanie dziadka było czymś tak dziwnym, że nie chciał się zwierzać Tess, której nie widział dziesięć lat. Po co się ośmieszać?
- Wiem. Moja siostra ma dwoje dzieci, więc na razie jakoś się wywinęłam. To znaczy, chcesz poznać przyzwoitą dziewczynę, żeby zrobić przyjemność mamie? - W jej pytaniu było wprawdzie niedowierzanie, ale nie potępienie.
- Obiecałem, że spróbuję, ale jak się pracuje na budowie, to trudno spotkać dziewczynę, którą chciałoby się przedstawić mamie.
- W żadnym razie nie chciałabym rozczarować twojej mamy. - Poklepała futerał oparty o udo. - Ale spodziewam się, że chyba będę miała okazję szybko poznać nowy zestaw zabawek Baileya. Mój sklep zawsze sprowadza najnowsze wyroby dla dzieci.
- Poprosił ją, żeby opowiedziała mu o swoim sklepie, ale

nie zwracał specjalnej uwagi na to, co mówiła. Po prostu nie interesowały go foteliki dla niemowlaków, zwłaszcza że to wszystko przypominało mu o grubymi nićmi szytych manipulacjach dziadka.

Podjechali do klubu bilardowego. Nie przypuszczał, że Tess lubi tego rodzaju miejsca. Była to tawerna robotnicza o grubych przyciemnionych szybach, z neonowym kuflem piwa w reklamie nad drzwiami. Zostawił marynarkę i krawat w aucie i zanurzył się z Tess w mroczne wnętrze, woniejące dymem i potem.

- Cześć, Tess! Jak się masz, kochana? - zawołał mały brodac po siedemdziesiątce.

- Świetnie, Barney.

- Strzelisz sobie partyjkę? - spytał drugi, siwy, który stał przy barze.

- Właśnie po to przyjechaliśmy.

Bywalcy baru mieli swoje stałe miejsca, stołki należały do weteranów, przeważnie byli to mężczyźni, ale też parę kobiet o twarzach, które nie bardzo pasowały do jaskrawo farbowanych włosów. Patrząc na siedzących przy stolikach, Cole zrozumiał, czemu Tess czuje się tutaj u siebie. Otóż siedzieli tu również dwudziestoparoletni robotnicy. Obie te grupy widocznie dobrze się z sobą zgadzały, może z wyjątkiem paru młodych osiłków.

Tess pomachała ręką w kierunku kilku młodych ludzi, lecz poszła prosto w głąb sali. Stoły bilardowe znajdowały się za drzwiami wahadłowymi, w tylnym pomieszczeniu o staromodnym stalowym suficie. Dobrze wybrała. Nagryzmoła nazwisko na tablicy, ale nikt więcej nie czekał na wolny stół.

- Co ci przynieść do picia? - spytał Cole.

- Jasne piwo, dobrze? Bilard potęguje pragnienie.

Myślał, że zamówi wodę sodową albo może białe wino, no ale cóż on wiedział o Tess.

- Ty zaczynasz - powiedziała.

Ustawił bile i wyważył wybrany kij. Koniec kija był święto wymieniony. W tym miejscu traktowało się grę poważnie. Może to zły znak?

Tess trafiła i bila wpadła do luzu. Z przyjemnością patrzył, jak Tess się pochyla nad stołem i wybiera pozycję. Zachowywała się swobodnie, od niechcenia, ale gdy grała, szła jak burza. Zrobiło to na nim wrażenie. Cały ten zakład wcale nie był czymś tak prostym, jak początkowo myślał.

- Dobry strzał - rzekł, gdy trafiła raz jeszcze.

Może nawet za dobry. Gdyby ją pobił, miałyby łatwiejszą sytuację. Stanął za nią i pochylił się, gdy i ona się schyliła. Sięgnął, by ująć jej rękę w przegubie w chwili, gdy się szykowała do następnego strzału.

- Jakbyś trochę wyprostowała rękę, tylko troszeczkę...

- zaczął ją instruować.

- Cole Bailey! - Jej biodra jak dwie kule armatnie odepchnęły go od stołu. - Nie musisz mnie uczyć! - zaatakowała go jak rozwścieczony nosorożec. - Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, kończymy grę!

"- Dobrze - powiedział, czując się jak natręt. - Czasem ludzie lubią, by im coś podpowiedzieć.

Zwłaszcza jeśli nie grają zbyt dobrze, pomyślał. Obiecał sobie, że nie będzie zapominał, że Tess różni się od innych kobiet.

Przeszedł na drugą stronę stołu. Jestem paskudnym męskim szowinistą, pomyślał, gdy następnym razem chybiła.

Potrafi wygrać ten zakład. Nie będzie się o nią ocierał ani rozpraszał jej uwagi. Mimo wszystko to jest Tess. Zawdzięczał jej zdany gładko egzamin z angielskiego.

- Przepraszam - wymamrotał, szykując się do pierwszego strzału. - Chciałem ci tylko pomóc.

- Aha, pewnie... - odrzekła z niedowierzaniem.

- Czyli jeden zero dla mnie - powiedział wesoło. - Podasz się?

- W żadnym razie! Gram wyżej. Zawsze zaczynam pomału.

- Masz świetny kij - powiedział, ponieważ cisza między nimi wydała mu się czymś niestosownym, gdy w sali brzmiał grzechot kuł bilardowych, różne rozmowy i śmiechy ludzi przy innych stołach.

- Siedemnaście uncji. Dostałam od taty, kiedy nasza drużyna wygrała mistrzostwa ligi w zeszłym roku.

- O, to imponujące. - Rzeczywiście zaimponowała mu. Nigdy nie grał w lidze, ale oczywiście wiedział, że grają w niej najlepsi. Zależało mu, by wygrać, nie dopuszczając jej do stołu. Może chciał dowieść, że jest lepszy. Na pewno ta jego zagrywka trochę ją wyprowadziła z równowagi. Chole-
ra, trudno mu się skoncentrować!

Oddał kilka strzałów dość umiarkowanej jakości. Nie miał do tego głowy. Trzecim strzałem trafił kilka centymetrów od luzu i właściwie z ulgą oddał stół Tess. Nie można powiedzieć, że specjalnie się podłożył, ale po takiej grze miał to, na co zasłużył: przegraną.

- Wyrównanie - powiedziała zadowolona. - No to teraz -próbujmy pograć serio.

Wygrała, więc zaczynała pierwsza. Cole zmrużył oczy, patrzył na bile, starał się nie widzieć, jak biust wypełnia

dekolt Tess, gdy ta pochyla się nad stołem. Panie zawsze w ten sposób rozpraszają uwagę, ale przecież grał o coś więcej. Nie miała to być okazja do zmysłowych uniesień.

Ścisnął bandę stołu, aż zsiniały mu palce. Właściwie chcieliby zrezygnować. Nie będzie się żenił, zwłaszcza na warunkach dziadka. Wiedział jednak, że matka przestanie być dyrektorem firmy, jeśli akcje nie pozostaną w rękach rodziny. Przyjdzie jakiś młody pętaś z dyplomem i zajmie jej miejsce. Nawet przyjmując, że Nick, ich brat przyrodni, zatrzyma swoje udziały, obaj z Zackiem muszą pomóc matce.

Bile poruszały się na jaskrawozielonym stole. Cała przyszłość zależała od tego, jak Tess Morgan radzi sobie z kijem bilardowym. Czy pozna go z odpowiednią dziewczyną. Jeszcze dwa strzały i Tess wygra, a on straci wszystko.

- No nie! - zabrzmiało rozpaczliwie.

Chybiła. Był pewien, że Tess zwycięży. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jednak ma szansę.

Przygryzł wargę. Powtarzał sobie, że nie może się za bardzo stawiać. Wytarł najpierw jedną dłoń o spodnie, potem drugą. Starął się nastawić psychicznie na wygraną.

- Siódemka do łuzu - podał elegancko, chociaż była to jedyna możliwość.

Bila uderzyła w siódemkę z łomotem.

- Wiedziałam, że tego nie -zepsujesz - powiedziała Tess niechętnie.

Mógł teraz chybić przy następnym strzale i stracić wszystko. Kąt do ósemki zupełnie mu nie leżał. Miewał już trudniejsze sytuacje, ale zdarzało się też, że chybiał w łatwiejszych warunkach. Usłyszał grzmot ósemki wlatującej do łuzu.

- No, chyba wygrałeś... - uznała Tess. Wyciągnęła rękę.

Dotknęła jego dłoni, stwardniałej od pracy, ale wygrana nie sprawiła Cole'owi specjalnej radości.

- Grałaś świetnie - powiedział.

- Tak, na pewno, ale dwie partie przegrałam, a chciałam wygrać - powiedziała z widocznym niezadowoleniem. - To, że mam zorganizować randkę w ciemno akurat tobie, jest po prostu śmieszne. Powiedz szczerze, że tylko żartowałeś.

- Nie żartowałem.

- Masz jakąś listę? Każdy coś lubi albo czegoś nie lubi. Powiedz, co to ma być za dziewczyna. - Brzmiało to trochę natrętnie.

- No, w każdym razie chciałbym, żeby nie dłubała w zębach przy ludziach.

- Bądź poważny!

- Jestem. Chodziłem z dziewczyną - dość krótko - która miała bzika na punkcie zębów. W chwili gdy kończyła jeść, wyciągała nitkę i czyściła zęby.

- Żadna z moich przyjaciółek nic takiego nie robi.

- Dlatego proszę cię o pomoc. Znasz swoje koleżanki. Polegam na tobie.

Kiedy wkładała kij do futerału, do stołu podeszły dwie dziewczyny.

- Skończyliście na dzisiaj? - Platynowa blondynka zamrugała rzęsami oblepionymi tuszem.

- Stół jest wasz - powiedziała Tess. - Wychodzimy.

- A może by tak partyjkę? - druga z nich zwróciła się do Cole'a.

Popatrzył na jej biust. Trudno go było nie widzieć, ponieważ wspaniale wypływał z dekoltu, wzmocniony potęgą silikonu. Dał krok do tyłu.

- Dziękuję, ale już wychodzimy.

Wyszli z Tess na parking.

- Wiesz, mógłbym mieć czas w przyszłą sobotę - powiedział po chwili.

• - Czas? - Wyglądało na to, że Tess nie wie, o co chodzi.

Wsiadła do auta.

- Żeby poznać jakąś dziewczynę. No wiesz, randka, bo chyba pamiętasz, o co graliśmy? - powiedział, wsiadając od strony kierowcy.

- No, a te panienki w barze nie zainteresowały cię?

- Sądzisz, że tego rodzaju osoby są w moim guście? - Tym razem zaliczyła punkt dla siebie.

- Nie, mam nadzieję, że nie, ale jak byłeś w szkole, to...

- Ale to było dziesięć lat temu. Nawet Baileyowie w końcu dorastają. - Chociaż nie był tego zupełnie pewien w odniesieniu do Zacka.

- Przepraszam, nie chciałam cię dotknąć.

- Nie ma o czym mówić. - Nadal nie był usatysfakcjonowany, ale chciał sfinalizować sprawę randki. - To może raz umów mnie na sobotę, a drugi raz na niedzielę.

- To ile osób mam znaleźć?

W jej głosie wyczuł pewien niesmak. No, ale przecież to ona przegrała i nie miał zamiaru dać jej czmychnąć.

- Mimo że wygrałem, bardzo chętnie oprowadzę cię po fabryce - zaproponował z nadzieją, że to ją zmiękczy.

- I będę mogła zerknąć na nową kolekcję?

Jeżeli obejrzenie kupy szmatek dla niemowlaków miało mu coś ułatwić, to była to niewygórowana cena, przynajmniej dziadek pomyśli, że zaczął się trochę interesować firmą. Nie mógł jej pokazać nowej kolekcji bez zezwolenia matki, która

na pewno wspomni o tym wszechmocnemu przewodniczącemu zarządu, panu Marshowi Baileyowi. Do cholery, życie faceta, który woli być budowląncem, jest skomplikowane.

- Tak, zerkniesz sobie - obiecał. - Słyszałem, że jest podgrzewacz pieluch, który gra kołysankę. I wyobraź sobie, jak się moja mama ucieszy, że w końcu poznam jakieś przyzwoite dziewczyny.

- Myślę, że każda, z którą będziesz chciał się gdzieś pokazać, musi być ładna - powiedziała Tess.

Udało mu się ją na chwilę zmiękczyć.

- Ale nie tak zwyczajnie ładna. Chodzi mi o interesującą twarz. - Czuł, że to, co mówi, nie może brzmieć sztywno.

- Wysoka, niska, blondynka, brunetka?

- Dla mnie ważniejsza jest osobowość. - Doprowadziła do tego, że wyrażał się jak z ktoś z redakcji magazynów kobiecych.

- Co według ciebie znaczy „ładna”? - naciskała.

- Daj spokój, Tess. Ja nie chcę żadnych definicji. Byleby nie sypiała ze wszystkimi dokoła. Czy to ci wystarczy?

- No, coś takiego w ogóle nie przyszło mi do głowy!

Zabrzmiało to tak szczerze, że miał ochotę pocałować ją. Czy to nie metoda? Doprowadzić starą przyjaciółkę do takiego stanu, żeby wynalazła mu dziewczynę choćby spod ziemi.

- Jestem pewien, że wszystkie twoje przyjaciółki są na medal - zapewnił.

- Może z wyjątkiem Lucindy - powiedziała z namysłem.

- Był to najstraszniejszy strój w historii wszystkich drухen świata.

Roześmiał się ze zrozumieniem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zagrała z Baileyem w bilard, ale czemu nie o coś fajnego? Pomyślała, że mężczyźni najchętniej grają o to, kto następnego dnia rano poda kawę.

Z ponurą miną poprawiała łóżeczka i pościele firmy Wszelkie Wygody. Nie był to najlepszy interes, jaki zrobiła. Klienci sklepu wcale nie rwali się do tych wygod. Jednego dawno już się nauczyła, mianowicie, że dzieci lepiej widzą rzeczy biało-czarne niż kolorowe. Towar powinien przemawiać do dziadków i wszystkich innych, którzy kupują prezenty.

Naprawdę zależało jej, by wystąpić z nową kolekcją Bailey'a, zanim to zrobi konkurencja. Ale czy to nie za wysoka cena za zorganizowanie randki dla Cole'a, jednej, a może nawet kilku? Do tego lepiej by się nadawał jakiś skrzydlaty kupidynek, ale siebie nie widziała w tej roli.

Główne pytanie brzmiało: Kto, kto, kto? Na przykład Mandy, przyjaciółeczka, która szalenie lubi randki w ciemno, dałaby się na pewno skusić na spotkanie z Cole'em, ale Tess wcale nie chciała ich z sobą kojarzyć. W ogóle nie miała żadnego pomysłu, w ogóle żadnego, ile tych randek powinna zorganizować. Najlepiej, gdyby ich wcale nie było, ale jej siostra Karen, z którą rozmawiała przez telefon, zwróciła uwagę, że to Tess powinna się umówić z Cole'em.

Pomyśleć, że spodziewał się pomocy właśnie od niej. Miała mu znaleźć partnerkę. Wyobrażał sobie przyzwoitą dziewczynę dość mętnie. Wprawdzie nie dał się poderwać tym kobietom w barze, ale dobrze wiedziała, że tacy jak on potrafia łącać serca. Zmienił się czy nie, nie będzie z jego powodu cierpiała.

I tak już myślała o nim, niby o bohaterze powieści wiktoriańskiej. Był wspaniały, smukły, dobrze zbudowany, bardzo przystojny. Takich ludzi ogląda się w kinie. Cole myśli sobie, że pozna miłą dziewczynę, ale złamie pewnie wiele serc, nim spotka tę, o którą mu chodzi.

Gdyby miała zdjęcie Cole'a, to każda ze znanych jej dziewczyn błagałaby ją o spotkanie z nim. Może byłoby dobrze położyć na wierzchu księgę pamiątkową ze szkoły i od niechcienia pokazywać jego zdjęcie z najstarszej klasy.

Nie chciała się do tego przyznać, ale w jednej sprawie jej siostra miała rację. Z Cole'em przegrała w bilard, ale przedtem podczas wesela wybawił ją z głupiej sytuacji.

Tess, stojąc przy wejściu, zauważyła blondynkę, która przepychała się między wieszakami z ubrankami dziecięcymi. Podeszła, oferując swoje usługi. Kobieta odwróciła się i krzyknęła:

- Tess, jak się masz?!
- O, Jillian, dzień dobry. - Tess uśmiechnęła się automatycznie, bo tak zwykła witać każdą klientkę. - Czy mogę ci w czymś pomóc?
- Moja siostra będzie miała bliźniaki, jeśli doktor się nie pomylił. No i oczywiście chciałabym kupić coś, w czym będą się kąpać.

Jillian Davis chodziła z Tess na kick-boxing i była w tym

tak dobra, że z łatwością mogła zostać instruktorem, ale miała już doskonałą pracę w dziale kredytów w banku. Była jedną z tych lubianych kobiet, przy których wszystkie inne czują się, jakby im szpinak wlażł między zęby albo jakby były w samych majtkach. W wolnych chwilach Jillian zgłaszała się do różnych akcji społecznych i często była wybierana do władz.

- Mamy śliczne elastyczne śpioszki, to taka nowość dla niemowląt - podsunęła Tess.

- Nie, wolałabym coś bardziej dziewczęcego. Przy okazji ci powiem, że prawie już postanowiłam wycofać się z kick-boxingu. - Jillian od niechcenia rzuciła okiem na ubranka, które pokazywała Tess. - Teraz zafascynowała mnie joga. Wzbogaca osobowość. Akademia jogi to najlepsze miejsce, by poznać właściwego mężczyznę.

Gdy Jillian zaczynała narzekać, że na świecie nie ma przyzwoitych mężczyzn, to musiało znaczyć, że poprzedniego dnia nie wyszła jej randka.

- A kołderki?

Jillian szybko rzuciła okiem w ich stronę i potrząsnęła głową.

Cholera, pomyślała Tess, tyle zalet, dobry smak. Czy ona nie ma jakiejś wady?

- To może...

Rozejrzała się, by podsunąć coś innego, i wtedy ujrzała Cole'a, który szedł od wejścia do galerii w stronę jej sklepu. Miał na sobie dzinsy. Był w wyblakłej niebieskiej koszulce z odznakami klubu piłki nożnej Lwy Detroit, na nogach miał zakurzone brązowe buty.

- Cześć, Tess - powiedział Cole od niechcenia, mierząc

Jillian wzrokiem. - Nie chcę ci przeszkadzać, skoro masz klientkę...

- O, ja jestem przyjaciółką Tess, nie tylko klientką - pośpieszyła Jillian z wyjaśnieniem.

Bez przesady, pomyślała Tess. Miała ochotę unieważnić od razu wszelkie transakcje z tą swoją niby-przyjaciółką, która okazała się zmią.

- Miło mi poznać. - Gole wyciągnął rękę.

- Nazywam się Jillian Davis.

- Cole Bailey. - Ciągłe ścisnął jej dłoń.

- Właściwie dziś jestem również klientką. Szukam dwóch prezentów dla niemowlaków, bo moja siostra spodziewa się bliźniąt.

- Żartuje pani! Ja też jestem bliźniakiem.

- O, co za zbieg okoliczności! To już teraz na pewno kupię coś fajnego!

- Myślę, że Tess ma coś dla dzieci. Co to jest? - wyciągnął prześcieradełko firmy Wszelkie Wygody. - Krówki. Śliczne. Prawda?

- Prawda, bardzo ładne - Jillian przyjrzała się im jeszcze raz. - Popatrz, ile fajnych rzeczy do tego pasuje, kołderka, śliniaczek, nawet szlaczek na ścianę! Jestem tymi bliźniakami tak podekscytowana, jakby miały być moje. No, oczywiście, nie jestem zameżna... nawet nikogo nie mam.

- O, to ma pani szczęście - powiedział Cole. - Tess zostało już tylko kilka kołderek po obniżonej cenie.

Wystarczyło jedno słowo Cole'a i Jillian chwyciła również prześcieradełką z krówkami, nawet nie patrząc na cenę.

Tess przyszło na myśl, że w bankach zaczynają się właśnie godziny pracy.

- Zaraz wypiszę ci paragon - zapewniła. - Pewnie się śpieszysz do pracy.

- O, mój szef jest bardzo wyrozumiały - wyjaśniła Jillian. - To jedyny moment, kiedy mogłam wyskoczyć na zakupy.

Cole spotkał wzrok Tess. Jillian wzięła swoje zakupy i poszła w stronę kasy.

- To ta? - sformułował pytanie.

- W żadnym razie - odparła, ale potem pomyślała, że to jest jakieś wyjście. Na pewno uratuje w ten sposób parę przyjaciółek przed podbojem ze strony Cole'a. - Ta! - powiedziała szeptem.

Niezależnie od tego, czy to było korzystne, czy nie, Tess nie czuła się zadowolona. Wszystko miało polegać na tym, że spotkał przypadkiem dziewczynę, która mu się spodobała, i już? To po co zwracał głowę?

Gdy Tess wystawiała paragon, Cole rozmawiał z Jillian. Bezmyślna paplanina tak jej przeszkadzała, że dwa razy musiała sprawdzać, czy się nie pomyliła w sumowaniu.

- Właściwie to przyszedłem tu dlatego, że Tess obiecała coś dla mnie zrobić - mówił Cole.

- Tak? - W tonie Jillian zabrzmiało zdziwienie, że taki wspaniały facet jak Cole może czegoś potrzebować od takiej zwykłej dziewczyny ze sklepu jak Tess. A może Tess tylko sobie wyobraziła, że ona tak myśli.

- Obiecała umówić mnie na piątek. - Jillian opadła szczęka. Szybko przyszła do siebie, ale Tess już zorientowała się w sytuacji.

- Myślałam, że chodziło ci o sobotę. - Nie zamierzała ułatwiać mu sprawy.

- Zmieniłem plany. Ale coś mi załatwisz?
- Załatwię - mruknęła.
- Nie wiedziałem, że Tess ma tak piękną przyjaciółkę.
- Cole spojrzał na Jillian.
 - Masz ochotę umówić się na piątek? - Tess spytała od niechcienia Jillian.
 - No, nie bardzo wiem. Nigdy nie umawiam się w ciemno, ale przecież ciebie już znam, prawda? I Tess ręczy za ciebie.

A to dopiero, zachnęła się Tess.

- Proponuję kolację, może bym podjechał po ciebie koło ósmej? - rzucił Cole.

- Doskonale.

Tess musiała przyznać, że Jillian nie zachowała się zbyt nachalnie. Wzięła dwie wielkie plastikowe torby z zakupami i skierowała się do wyjścia.

- Myślę, że nie przyszedłeś tu kupić coś dla dzieci - powiedziała do Cole'a, gdy zostali sami. - Jillian prawdopodobnie już teraz chciałaby mieć z tobą parkę bliźniąt.

- Wątpię, ale dziękuję za...

- Wiem, przecież ręczę za ciebie. Jest świetna. Zupełnie nie wiem, dlaczego jeszcze nie wyszła za męża. Robi karierę. Mam nadzieję, że miło się zabawicie.

- Dziękuję, prawdopodobnie będzie przyjemnie, ale nie wiem, czy rzeczywiście jest taka świetna.

O, co znowu...?.

- Jest blondynką. Ma cudowną cerę. Jak porcelana. Oczy niebieskie jak chabry, ubiera się naprawdę ze smakiem...

- Ale ja mówiłem, że liczy się to, co w środku.

- O! Ona pracuje z grupą wolontariuszy w Towarzystwie

Humanitarnym, zajmuje się zwierzętami i ludźmi - ciągnęła Tess.

- No proszę, pomogłaś mi, nawet nie dotykając słuchawki telefonicznej. Dziękuję ci, Tess. Ale przyszedłem tu w sprawie nowej kolekcji u dziadka. Jestem w drodze do centrum zaopatrzenia budownictwa, niedaleko stąd, i chcę ci powiedzieć, że w najbliższym czasie coś zorganizuję.

- A przy okazji sprawdzasz, co ja zrobiłam dla ciebie?

- To też. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale wiedziałem, że dotrzymasz słowa. Powiem ci, jak mi pójdzie z... - Zawahał się, zmarszczył brwi.

- Jillian. Jillian Davis. Możesz zadzwonić do niej do Pożyczek Przemysłowych.

Patrzyła za nim, jak wychodził, zaskoczona, że tak dobrze zapamiętała jego długi krok. Trudno sobie wyobrazić, jak wypadnie ta randka, ale przy okazji przynajmniej coś sprzedała.

Gole skończył pracę dość wcześnie, ale i tak pracował dwanaście godzin. Korzystając z pięknego letniego dnia, skierował się w stronę budynku z surowej cegły, w którym mieścił się wydział rozwoju i biura administracyjne firmy BAILEY. Wcześniej zadzwonił, by się upewnić, że zastanie matkę, chociaż wiadomo było, że rzadko kiedy wychodziła wcześniej.

Wsiadł do windy i pojechał do biura matki na trzecie piętro, mając nadzieję, że starego Marsha nie zastanie już w firmie.

Nie miało znaczenia, co Cole mówił o dziadku po wielkiej awanturze, gdy obaj z Zackiem postanowili założyć przed-

siębiorstwo budowlane. To już prawie rok, jak przestali być w fabryce, chociaż starali się być uprzejmi dla dziadka, kiedy matka wydawała obiad rodzinny. Mimo to jednak Cole nie miał ochoty wpaść na starego. Gdyby go zobaczył, to zaraz od nowa musiałby wysłuchiwać, że powinien zająć się firmą rodzinną.

Sekretariat był pusty. Sue Bailey zostawała po godzinach, ponieważ lubiła pracować, ale oczywiście nie żądała, by jej ludzie dla dobra firmy poświęcali swoje życie rodzinne.

- Mamusiu?

Drzwi do jej gabinetu były lekko uchylone. Cole wszedł do chłodnego wnętrza. W jakiś sposób matka umiała pogodzić sprawnie działający aparat biurowy z przytulnym, gościnnym wnętrzem. Lubiła kolor niebieski, miękki dywan był w jej ulubionym odcieniu. Białe ściany i lśniące nowoczesne metalowe meble nie pozostawiały wątpliwości, że jest to miejsce pracy, w głębi stał niski stół konferencyjny otoczony wygodnymi krzesłami obitymi skórą w geometryczne wzory, czarne, białe i niebieskie.

- Umówiłem się na piątek wieczór z bardzo miłą dziewczyną - powiedział bez żadnego wstępu.

Matka zawsze robiła wrażenie zadowolonej ze swego otoczenia w pracy, ale teraz, gdy spojrzała na syna, po prostu tryskała szczęściem. Obaj z Zackiem postępują słusznie - właściwie miała na myśli Cole'a. Na brata przyjdzie wkrótce kolej. Matką wstrząsnęła śmierć męża, którego nazywano Starszym Nickiem. Był to bardzo przyzwoity człowiek, który troszczył się o pasierbów nie mniej niż o własnego syna, małego Nicka. Matka całą energię włożyła w prowadzenie firmy, by przestać myśleć o nieszczęściu. Ale gdyby straciła

możliwość kierowania firmą przez manipulacje swego ojca, toby ją chyba zupełnie pognębiło.

- To cudownie, Cole! - Przytuliła go i podeszła do stolika, gdzie na tacy stał wielki dzbanek i dwie wysokie i wysmukłe szklanki.

- Napijesz się zimnej herbaty?

Nie był to jego ulubiony napój, ale tak mu się chciało pić, że wypiłby całą rzekę Detroit.

- Opowiedz o tej dziewczynie. - Podała mu herbatę. Powoli zaczęła pić swoją.

- To przyjaciółka mojej dawnej znajomej. Pamiętasz Tess Morgan?

- Tę, co ci pomagała w nauce literatury angielskiej?

- Właśnie. Jest właścicielką sklepu BABY MART w Rockstone Mail. Jest tak uprzejma, że ma mnie poznać ze swoimi przyjaciółkami. A ja obiecałem, że jej pokażę nową kolekcję zabawek.

Przeszedł się po pokoju, zauważając bez szczególnego entuzjazmu, że na ścianach ciągle wiszą dziesiątki zdjęć przedstawiające jego, Zacka i Nicka. Drażniły go szczególnie zdjęcia ze starych katalogów firmowych, przedstawiające bliźniaki z loczkami na głowie i reklamujące zabawki firmy BAILEY.

- Chyba nie będzie z tym problemu - powiedziała matka.

- Nowy katalog pojawi się w przyszłym miesiącu, na gwiazdkowe zamówienia hurtowe. Nie ma znaczenia, jeśli jedna osoba obejrzy go wcześniej.

- Tess nie zajmuje się wywiadem gospodarczym - sucho odparł Cole.

- Oczywiście. Właściwie jest to bardzo odpowiednia

chwila, żeby się temu wstępnie przyjrzała. Już jest wystawa w jednym z laboratoriów projektowych, przeznaczona dla potencjalnych inwestorów.

- Jak to, dla inwestorów? Czy stary wycofał się z tego, co mówił, i chce sprzedać akcje? O co mu chodzi?

- Zawsze o tym myślał. To jego sposób, żeby trzymać ludzi krótko.

Nie widać było, żeby matka była tym przejęta. Ale Cole tak. Marshowi nie chodziło o to, by wyprowadzać z równowagi pracowników. Groźbę sprzedaży dziadek skierował przeciwko niemu i Zackowi. Chyba powinien szybko skonsultować się z prawnikiem i upewnić się, że matka nie straci kontroli nad firmą.

- A może byś przyszedł z Tess jutro, jak będzie dziadek i inwestorzy? Mają oglądać kolekcję o dziewiętej.

- Myślałem o zupełnie prywatnych oględzinach. No rozumiesz, chcę, żeby to sobie obejrzała, ale nie w obecności Marsha...

- Aha, prywatne oględziny z Tess. Rozumiem. - Matka uśmiechnęła się.

- Jestem jej coś winien. Ja i Tess? Nie, nie jest w moim typie, a poza tym niezbyt mile mnie zapamiętała ze szkoły.

- Jeśli tak, to co innego. Ale jak się z nią dogadałeś, że ma cię poznać z przyjaciółkami?

To pytanie matki nagle rozśmieszyło Cole'a. Od kiedy to potrzebował pomocy, żeby się umówić? Jediną randkę w ciemno odbył kiedyś przez Zacka. Jakaś dziewczyna nie chciała się z nim umówić, dopóki Zack nie znajdzie kogoś dla przyjaciółki.

- Ona mi nie organizuje randek, mam. - Może to za-

brzmiało bardzo dziecinnie, ale chciał, by wszystko było jasne, tylko tyle. - Ona tylko ma mnie poznać z jakimiś przyzwoitymi osobami.

- I wszystko po to, by obejrzeć naszą nową kolekcję?
- matka miała wątpliwości.

- Nie, ja sam chcę jej to pokazać, bo tak będzie elegancko. Nie uważasz?

- Ale dlaczego chcesz to zrobić?

- Bo przegrała zakład.

Matka była o głowę niższa i bardzo szczupła, prawie chuda, ale gdy przeszła go spojrzeniem ciemnoszarych oczu, poddał się.

- Przegrała w bilard.

- Uczciwie? - spytała, a brzmiało to jak oskarżenie.

- Tess gra w lidze. O mało nie przegrałem... Ja nie mogę wyjść z pracy w ciągu dnia. Myślałem o tym, żeby ją przywieźć około dziewiątej wieczorem.

- Dobrze. Hasła na wejście po godzinach pracy zostały zmienione, więc ci je zapiszę na kartce.

Wyjęła notes i napisała serię cyfr i liter.

- Dziadek znowu myśli o nowym systemie zabezpieczeń. Ma obsesję na punkcie szpiegostwa gospodarczego.

- Ze wszystkiego jest niezadowolony, zawsze musi się wtrącić - powiedział Cole z nieukrywaną goryczą. Wolał, by stary bawił się w nowe zabezpieczenia i zostawił w spokoju rodzinę.

- Ważne, żeby wprowadzać te numery dokładnie co dwadzieścia minut. W laboratorium i w holu jest do tego odpowiedni panel. Najlepiej nastaw sobie czas. Błąd nie może przekroczyć trzydziestu sekund.

- Rozumiem. Dziękuję, mamó. - Schylił się i pocałował miękki, gładki policzek.

- Żebyś tylko nie uruchomił alarmu. Dziadek dostałby konwulsji.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Czemu tu tak tajemniczo? - spytała Tess szeptem.

- Wcale nie - odparł Cole trochę głośniej niż trzeba. - Lampy na korytarzu automatycznie przygasają w nocy. Mamą nie ma nic przeciwko temu, żebyś obejrzała nową kolekcję. I tak wkrótce wyjdzie nowy katalog.

- Mimo wszystko trochę się czuję jak złodziej. A czemu jesteś ubrany na czarno?

- Bo to jedyne czyste dżinsy, jakie znalazłem, mam poza tym dużo czarnych koszulek. Czy widziałas mnie w goglach?

- To śmieszne.

- Do tego włożyłem kapelusz, zresztą też własność mojej mamy.

- A nie dziadka?

Nie miał ochoty rozmawiać o dziadku.

- To jest tu. Muszę wprowadzić informację o obecności poza godzinami pracy.

Wyciągnął papier otrzymany od matki i wystukał po kolei szereg cyfr na panelu przy drzwiach.

- Zupełnie jak na filmie szpiegowskim - zachichotała nerwowo. - Czy jak skończymy, to zjesz tę kartkę?

- Nie mogę. Co dwadzieścia minut muszę wprowadzać te liczby na nowo.

Otworzył drzwi i zapalił światło, gestem wskazując, żeby

sza przodem. Wszedł za nią do wielkiej sali i przez chwilę regulował zegarek.

- A co by się stało, jakbyś tego nie zrobił?

Bardziej zainteresował ją system zabezpieczeń niż kolekcja, którą przyszła obejrzeć. Ciekawe, kiedy odkryje, czemu chciał spotykać się z jej przyjaciółkami.

- Laboratorium ulegnie samozniszczeniu, a my przez zapadnię w podłozde zlecimy do komory tortur. Zostaniemy przywiązani do olbrzymich krzeseł, dostaniemy do jedzenia zwiędłe buraki i szpinak i będziemy musieli żyć z mówiącymi zabawkami, dopóki nie zwariujemy.

- Fantastyczne. Nigdy nie widziałam laboratorium z taką ilością owieczek, kotków i kaczuszek.

Rozejrzała się po ogromnej sali - jeśli nie liczyć malunków na ścianach - białej i sterylnej. Ekspozyty wyłożono na długich, wysokich stołach roboczych, ich dane wydrukowano na eleganckich kartonowych tabliczkach. Cole śledził wzrokiem wszystko, na co Tess spojrzała. Zatrzymała się przy wielkim zdjęciu ich obu z Zackiem z czasów, gdy byli mali. Płynęli nadmuchiwanym statkiem, był to jeden z nieudanych wielkich pomysłów firmy BAILEY, ponieważ tonął, gdy pasażerowie ważyli więcej niż dwadzieścia kilo. Dość niebezpieczna zabawka.

- To chyba ty i Zack! - Tess podeszła bliżej do zdjęcia. - Byliście rozkoszni! O, a spójrz na to!

Przeszła do zdjęcia, na którym szczerbaty Zack wyłaził z nadmuchiwanej rury, na wierzchu której siedział Cole.

Matka i dziadek wszędzie wieszali te cholerne zdjęcia. Tess obeszła całą salę, zwracając uwagę na reklamy, które Cole już dawno wymazał ze świadomości.

- Czy dostawałeś na własność każdą zabawkę, z którą pozowałeś? - spytała.

- Owszem, ale tylko do czasu, kiedy pokroiliśmy na kawałki wielką nadmuchiwaną piłkę plażową bagnetem Marsha pochodzącym z drugiej wojny światowej. Potem chyba wszystkie zabawki były metalowe. Myślę, że pewnie chcesz obejrzeć nowe eksponaty.

Lubił małe dzieci, ale nie cierpiał rzeczy dla nich przeznaczonych. Denerwowało go to całe otoczenie, chociaż wcale nie był nerwowym.

- Tu są próbki wszystkich wyrobów, możesz sobie wziąć po jednej - powiedział do Tess.

Właściwie bawiło go, że ona tak się tym wszystkim interesuje. Idąc z nią, obserwował jej zachowanie. Komentowała wszystko, co zauważyła, bez żadnych achów i ochów.

- To jest chyba najlepsze - zauważył niepewnie.

Podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć temu, co miał na myśli.

- Nadmuchiwany nocniczek podróżny. Po prostu genialny. - Wzięła jeden egzemplarz wzorcowy. - A gdzie jest ten podgrzewacz pieluch, który gra kołysanki?

- Nie mam zielonego pojęcia - wyznał szczerze.

- Zupełnie cię to nie interesuje, co?

- Zupełnie.

Zatrzymała się chwilę przy wózku spacerowym według wzoru szwedzkiego, który kosztował więcej niż jego pierwszy samochód, a potem zachwyciła się doskonałym wysokim krzesłem dla dzieci,

Szedł za nią, choć nie potrafił dzielić jej entuzjazmu dla oglądanej kolekcji. Wiadomo. BAILEY - WYROBY DLA DZIECI to złoty interes, ale nie dla niego. Chciał według

własnych pomysłów budować dobrze pomyślane, przyjemne, niedrogie domy dla ludzi, którzy nigdy nie obejrzą pretensjonalnego wnętrza willi Marsha Baileya. Cole i Zack mieli nadzieję, że wygrają przetargi, które postawią ich firmę na nogi.

- O, jest podgrzewacz pieluch! - wykrzyknęła z entuzjazmem, a jej głos zabrzmiał wyjątkowo donośnie w przestrzeni laboratorium.

Podszedł bliżej i zobaczył, że Tess bierze ten przyrząd do ręki. Rozległ się brzęczyk, który nie przestał działać, mimo że już odłożyła podgrzewacz.

- Co się dzieje? - spytała:

- To mój zegarek. Czas wprowadzić kod. To potrwa sekundę.

Miał trzydzieści sekund. Nie było pośpiechu. Podszedł do panelu w ścianie; jaki ten kod właściwie był? Trzy-siedem-pięć-osiem-dziewięć, a może to było sześć? Czemu właściwie dziadek nie stosuje sekwencji dat urodzin? System powinien chronić przed złodziejami, a nie utrudniać życie wnukom. Sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę, na której miał napisany kod. Głuchy odgłos zbił go z tropu.

- Co się stało? - spytała Tess.

- Zadziałały zamki automatyczne.

Wprowadził kod otrzymany od matki, ale nic z tego nie wynikło. Drzwi nie dały się otworzyć. Spróbował jeszcze raz, znów to samo. Nie zadziałało.

- Nie możesz otworzyć drzwi?

- Nie. - Spróbował po raz trzeci. Nic z tego.

- Musi być jakieś wyjście - powiedziała.

- Nie, bo włączył się ten cholerny system antywłamania-

wy dziadka. Chciałbym, żeby ten jego zbiór Jamesa Bonda uległ samozagładzie.

- Czy rzeczywiście szpiegostwo przemysłowe obejmuje projekty rzeczy przeznaczonych dla małych dzieci? - Bardzo była zdziwiona niż przerażona.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie miałem z tymi sprawami do czynienia od momentu, kiedy obaj z Zackiem nawzajem poobcinaliśmy sobie włosy, żeby już nie występować w katalogu.

- Co teraz zrobimy?

- Myślę, że zaczekamy na policję.

Roześmiała się. Spojrzał na nią.

- Może masz w torebce telefon komórkowy?- spytał.

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale tu chyba jest telefon?

Nie miał zielonego pojęcia, ale poszedł sprawdzić. Telefon był głuchy.

- Przypuszczam, że telefon się wyłącza, kiedy drzwi zostają zaryglowane - rzekł.

- Czemu?

Gdyby to była jakaś historia szpiegowska na ekranie, to bohaterka filmu już by się do niego kleiła. Wyobraził sobie Tess w takiej roli, zupełnie, jak się okazało, niezgodnej z rzeczywistością.

- Może przez to ktoś, kto kradnie podgrzewacz, nie może przekazać pomocnikom tajnego projektu - powiedział donośnym szeptem. Chciał, żeby znowu się roześmiała.

- To co robimy?

- Dobre pytanie. Zobaczę, czy potrafię zrobić zwarcie w systemie.

Byli w laboratorium. Gdzieś tu powinny być narzędzia. Otworzył jakąś szufladę, znalazł śrubokręt i obcęgi.

- A czy nie ma tu przypadkiem stróża nocnego czy kogoś w tym rodzaju? - spytała, podczas gdy Cole wyjmował panel sterowniczy z obudowy w ścianie.

- Jest cała zmiana ochroniarzy, ale wołałbym wyjść stąd, zanim któryś z nich się pokaże.

- No przecież mówiłeś, że weszliśmy legalnie. Spójrz na te kolorowe druty. Zupełnie jak na filmie, jeden unieszkodliwi bombę, a drugi...

- Ale to nie bomba - warknął.

- Mogę wybrać kolor?

- Czemu nie?

- Żółty, wyciągnij żółty.

- Żółty oznacza, że nie ma przejścia.

- Masz rację. To może spróbuj zielony?

Schwycił zielony drut i przeciął. Za drzwiami rozległ się ostry dźwięk syreny alarmowej.

- To nie ten drut.

Wzruszyła ramionami. Cole nie chciał za żadną cenę przyznać się do porażki.

- To spróbuj niebieski - podsunęła. - Już i tak wpadliśmy. Co się jeszcze może wydarzyć?

- Jeszcze ściany mogą się zacząć walić i zgniotą nas.

- Zupełnie jak u Poego. Pamiętasz tę historię? - powiedziała z wielkim ożywieniem.

Nigdy tego nie czytał, choć wtedy Tess dawała mu korepetycje. Czytała mu na głos „Makbeta”, scenę po nieskończeniu długiej scenie, i potem musiał przyznać, że było to bardzo interesujące.

Przeciął niebieski drucik. Drzwi ciągle pozostawały zamknięte.

- Cole, czy tu się trochę ochłodziło? - Objęła się ramionami.

- Tak, rzeczywiście.

Całe laboratorium było jedną wielką pułapką. Dziadek, zamiast projektować myślące zabawki, zajął się wymyślaniem diabelskich zasadzek. Cole położył obcęgi na stole. W żadnym razie nie miał zamiaru wyciągać kolejnego drutu. Czerwony pewnie by uczynił z podłogi jedną wielką patelnię.

- Ciekawe, czy tego podgrzewacza pieluch można użyć do ogrzania rąk.

Tess trzęsła się z zimna tak bardzo, że nie była w stanie odpowiedzieć. Z otworów wentylacyjnych zionęło arktyczne powietrze.

Stanął za nią i objął ją.

- Już mi ciepło - chciała się uwolnić od jego uścisku.

- Mnie nie.

- To źle! Wszystko przez ciebie.

- To ty chciałaś obejrzeć nową kolekcję.

- Ale nie za cenę zamarznienia na śmierć! - Dzwoniła zębami. Poczuł, że przeszyły ją dreszcze.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, więc oboje odwrócili się, podnosząc ręce, bo spodziewali się, że to ochroniarze.

- Dziadek! - Cole zapomniał, że w myślach nazywa go bardziej dosadnie.

- Cieszę się, że zainteresowałaś się firmą, Cole,

Marsh Bailey wyglądał groźnie ze swymi ostrymi jak brzytwa rysami i zimnym spojrzeniem niebieskich oczu, w nienagannie uszytym włoskim srebrzystoszarym garnitu-

rze. Był jedynym znanym Cole'owi człowiekiem, który nigdy nie nosił dżinsów. Nigdy nie rozluźnił krawata, nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy oglądał w telewizji program dotyczący problemów państwowych. Cole instynktownie objął Tess ramieniem. Zdziwił się, że jest tak cudownie zaokrąglona.

- To nie jest zbyt elegancka forma traktowania pańskich stałych klientów, panie Bailey. Firma BABY MART, której jestem właścicielką, sprzedała w Boże Narodzenie trzydzieści dwa wasze dmuchane namioty.

- Trzydzieści dwa? To świetnie. To więcej, niż sprzedał Zabawkowy Dom Towarowy we wszystkich swoich sklepach. No, ale to nie tłumaczy, dlaczego uruchomiliście system alarmowy. Gdyby nie to, że sprawdzałem, jak działają monitory, znaleźlibyście się pod lufami kilku pistoletów.

- Nie zdążyłem wprowadzić kodu. - Gole na widok dziadka poczuł w sobie przypływ ducha bojowego.

- Potwierdzam, że tak było - wtrąciła się Tess. - Cole nastawił zegarek...

- Więc z tego wynikałoby, że powinienem panią przeprosić, panno...

- Tess Morgan.

Marsh Bailey nigdy nikogo nie przeproszał. Uważał, że bogaci nie muszą tego robić. Cole spodziewał się, że będzie się nad nim znęcał, a tymczasem stary prawił Tess miłe i gładkie słówka.

- A więc, panno Morgan, skoro pani już obejrzała nową kolekcję, proszę mi powiedzieć, co pani o niej sądzi?

- To wysokie krzesło dla dzieci w kolorze jaskrawozielonym nie pójdzie. Projekt jest świetny, ale kolor będzie się

kłócił ze wszystkim, co stoi w kuchni. Ale nocniczek podróżny jest genialny.

Marsh dotknął palcem wąsa, cienkiego jak ołówek. Nosił go od zawsze. Siwe włosy miał gładko przylizane. To nie przypadek, że obaj z Zackiem nosili krótkie czupryny i golili się, mimo że wygodniej byłoby nosić brodę.

- Nocniczek sam projektowałem. - Stary puchł z dumy.
- A na rynek amerykański przeznaczone jest wysokie krzesło w kolorze jasnobeżowym.

Cole wziął Tess za rękę.

- A do czego jest ten żółty drut? - spytała, gdy wy chodzili na korytarz.

- Uruchamia zraszacz. - Marsh wyszedł z nimi. - To była dobra próba nowego systemu.

Tess spędziła tydzień, rozmyślając na temat nowości Bailey'a - nowości przedstawionych przez Cole'a, nie chodziło jednak o kolekcję wyrobów dla dzieci. Czemu wprowadził ją w swoje życie osobiste? Albo na przyjęciu wypił za dużo szampana, albo upadł na głowę. Byłoby lepiej, gdyby pozostał tylko wspomnieniem na kartach książki pamiątkowej. Czy na pewno?

Dzięki niemu życie stało się ciekawsze. Wpadła w pułapkę zwariowanego wynalazcy - no, w każdym razie faceta bardzo zmyślnego - i została nawet podejrzana o szpiegostwo przemysłowe. Co ciekawsze, powiedziała starymu Marshowi Baileyowi, co sądzi o jego nowych wyrobach. A czy zrobiłaby to dla innej firmy?

Leżała w łóżku w zbyt obszernej, żółtej nocnej koszuli, chrupiąc prażoną kukurydzą i oglądając w telewizji „Narze-

czoną Frankensteina", a Cole tymczasem był na kolacji i zdobywał Jillian Davis. Akurat ją! Gdyby Tess miała jakieś aspiracje, żeby zostać swatką, to na liście kandydatek nie umieściłaby Jillian nawet na ostatnim miejscu, chociaż intuicyjnie przeczuwała, że jej koleżanka z kick-boxingu mogła być w guście Cole'a.

Odezwał się dzwonek. Spojrzała przez wizjer, za drzwiami stał Cole. Przecież nie pokaże mu się w nocnej koszuli, a poza tym nie ma ochoty wysłuchiwać opinii o jego wspaniałej randce. Otworzyła drzwi, na ile pozwalała długość łańcucha.

- Cześć. Mogę wejść?
- Nie jestem ubrana.
- Wyglądasz bardzo dobrze. Chciałbym z tobą porozmawiać... To pilne.

Zdjęła łańcuch i wpuściła go do malutkiego pokoju.

- Czy są jakieś kłopoty z powodu tego, że wdarliśmy się do laboratorium?

- Nie wdarliśmy się. Słuchaj... Następnym razem, jak mnie będziesz umawiała - powiedział, siadając na kanapie - wolałbym, żeby to była dziewczyna, którą znasz nieco lepiej.

- Chyba pamiętasz, że nie umawiałam cię z Jillian. Sam to sobie załatwiłeś.

- No tak, racja.

- Więc nie było przyjemnie?

- Wolę o tym nie mówić. Byliśmy na obiedzie w „Troca-dero”.

- Na pierwszą randkę w sam raz. Podobało jej się? Dobrze się bawiła?

- Myślę, że tak. Nie o to chodzi.

- - A o co?

Tess wyłączyła telewizor, Była to jej własna kasetka, więc mogła ją obejrzeć kiedy indziej.

- Potem poszliśmy do niej.

- Straszne. - odezwała się sucho.

- Na kawę i ciasteczka.

- Tak właśnie myślałam - skłamała.

- Przebrała się w coś wygodniejszego, jakąś białą szatę, krótszą od mojej koszulki, i pantofle z pomponami, którymi mogłaby rozdeptać kota.

- Każda kobieta czasem musi poczuć się swobodnie. Podała ci kawę i ciasteczka. Umie robić kawę?

- Wszystko było dobre.

- To o co ci chodzi, Cole? Co się stało?

- Nie byłeś u niej w domu, prawda?

- Nie byłam, to tylko znajoma.

- U niej w domu jest wszędzie pełno... - wziął głęboki oddech - wypchanych zwierzątek.

- Wypchane prawdziwe zwierzęta?

- Nie, takie, którymi bawią się dzieci, pluszowe misie i żyrafy na wszystkich meblach, psy i koty na krzesłach, kaczkę, wieloryb, nawet żółw. Tam nie ma gdzie usiąść, żeby ci się na głowę nie zwała lawina zwierząt.

- Przesadzasz.

- Nic. - Z powagą potrząsnął głową. Na czoło opadały mu kosmyki rozczochranych włosów, a jej nagie zachciało się uczesać go palcami.

- Kiedy przyszedliśmy do niej, poprosiła mnie, żeby wejść cicho, by nie pobudzić dzieci.

- Nie wiedziałam, że jest samotną matką.

- Bo nie jest. To idiotka, która rozmawia z zabawkami jak z dziećmi. Rozmawia!

Tess roześmiała się.

- Wcale mi nie pomogłaś. Jesteś mi winna...

- Jeżeli mówisz poważnie.

- Bardzo poważnie.

- To musisz mi uświadomić, o kogo ci chodzi, co to ma być za osoba.

- Nie będę robił specyfikacji. Chodzi o małżeństwo. Czy to nie dosyć? Po prostu chcę poznać jakieś przyzwoite dziewczyny, niewinne, niepokałane, słodkie, dzielne, uprzejme, wspaniałe...

- Za dużo chcesz! - Nie miała nawet chwili, by zaprotestować, gdy zamknął jej usta pocałunkiem.

- Daj mi tylko listę takich pań. Resztę sam załatwię.

Akurat! Miałyby go odstąpić przyjaciółkom?!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zrobił tę listę. Prawdę mówiąc, trochę pomógł mu Zack. Zgodzili się co do spraw zasadniczych. Dziewczyna ma mieć poczucie humoru, miły sposób bycia i ładnie wyglądać. Cole chciał dodać do listy usta takie jak ma Tess Morgan, ale rozsądnie zrezygnował z podawania walorów fizycznych.

Nie powinien był jej całować. Takich rzeczy nie robi się między przyjaciółmi, zwłaszcza gdy jednym z nich jest mężczyzna, a drugim kobieta, która ma go poznać z kandydatkami na żony. To dziwne. Kobiety, które znał, zazwyczaj bardzo chętnie zajmowały się swataniem.

Nie wybierał się w poniedziałek do Galerii Rockstone, bo miał nadzorować ludzi na budowie, ale musiał wstąpić do magazynu ogrodniczego. Postanowił wobec tego, że najpierw wpadnie do Galerii, zaprosi Tess na lunch, wybierze w magazynie, co trzeba, potem pójda coś zjeść i wtedy da jej listę, której się tak domagała. Wyglądało to sensownie. Nie będzie musiał specjalnie jechać do Tess w porannym szczycie i korkach.

Tym razem rozejrzał się, zanim wszedł do sklepu.

- Cole, dziś się ciebie nie spodziewałam - przywitała go Tess.
- Pomyślałem, że może zjemy razem lunch. Mam już tę listę...

- Dobrze.

Pewnie z tym samym entuzjazmem założyłaby robaka na haczyk.

- No to chodźmy. - Wszedł za ladę, wziął Tess za rękę i poprowadził do drzwi.

- Poczekaj, wezmę torebkę.

- Ja płacę.

- Muszę wziąć grzebień...

— I tak jesteś piękna.

Rzeczywiście. Gdyby jej nie pamiętał z dawnych, czasów jako grzeczną Tess, wzorową uczennicę, toby oniemiał na widok jej błyszczących włosów opadających na ramiona. Wyglądała jak marzenie.

Z parkingu obok sklepu pojechali na parking przy magazynie ogrodniczym. Cole'a denerwował wzmożony ruch. Tess cierpliwie czekała, aż załatwi wszystkie sprawy. Potem podeszli do stoiska, kupili jedzenie na wynos i udali się w kierunku stolików w patio obok magazynu.

- Zupełnie jak „Trocadero”... Mam na myśli parking - zażartowała.

- Poczekaj, aż spróbujesz ich musztardy cytrynowej. Jest lepsza niż to, co jedliśmy z Jillian.

Poczuł, że się czerwieni. To zrozumiałe. Ich piknik odbywał się w pobliżu kilku hektarów asfaltu, który o tej porze topił się na słońcu.

- Sprawdzę. - Rozwinęła papier, w który była zapakowana bułeczka, i zanurzyła jeden koniec w pojemniczku dołączonym do kanapki. - Masz rację! - Uśmiechnęła się figlarnie. - Bardzo dobre.

Gryzła parówkę i bułkę z takim zapałem, że przestał jeść

i patrzył, dopóki nie skończyła. Potem małymi łydkami zaczęła popijać colę.

- A ty nie będziesz jadł?

— Chcesz zjeść moje? - spytał.

- Nie, dziękuję. Czemu nie jesz.

Sam nie wiedział. Sześć godzin temu zjadł talerz płatków na śniadanie i zawsze w południe umierał z głodu.

- Pokażę ci moją listę - powiedział. Musiał wstać, żeby wyciągnąć złożony kawałek papieru podaniowego z lewej kieszeni dzinsów. - To dosyć głupie - mruknął, siadając ponownie na plastikowym krześle. Ugryzł kawał parówki i bułki, żując szybko, by ukryć zmieszanie.

- Nie, dlaczego? Mam na uwadze kilka osób. Mam nawet w torebce swoją listę, ale nie dałeś mi szansy, żebym ją wyciągnęła.

- A po co zabrałaś tę listę do pracy? Przecież nie czekałaś na mnie.

Zaczerwieniła się. Przypomniało mu to dawne czasy, kiedy lubił ją nabierać. Zupełnie nie potrafił ukryć uśmiechu, kiedy wyciągnęła jedną z papierowych serwetek i wytarła usta, ścierając resztki pomadki.

- Czy starłam całą musztardę? - spytała.

- Całą, z wyjątkiem odrobinki tutaj. - Dotknął palcem koniuszka jej nosa.

- Nie mam nic na nosie!

- Jesteś tego pewna?

- Nie mam lusterka — przyznała niechętnie. - Nie wzięłam torebki. No dobrze, zobaczymy.

Sięgnęła po papier, który ciągle trzymał w ręku.

- Nie śmieję się - ostrzegł.

- Straciłam poczucie humoru po tym, jak wygrałeś ze mną w bilard. - Udała zmartwioną.

Podał jej listę. Czuł się trochę niewyraźnie z powodu wymagań nabazgranych grubym ołówkiem stolarskim.

- Czy dobrze odczytałam? - spytała. - Czy numer cztery to „niedoświadczona?”

- Może to nie jest właściwe słowo...

- Nie, wiem, o co ci chodzi. Chcesz ją czegoś nauczyć, tak?

- Niezupełnie. - Omal się nie udławił.

- Zjedź już wreszcie.

Nie chciała się tym dalej zajmować, więc specjalnie wprawiła go w zakłopotanie. W innych sprawach Tess działała wprost perfekcyjnie.

- A może przepisałeś to z podręcznika dla mężów z czasów średniowiecza?

- Obawiam się, że moja lista jest znacznie obszerniejsza.

- Zatem trudno będzie dopasować ją do znanych mi niezamężnych pań.

- Nie ułatwiasz mi sprawy - wymamrotał.

- Przepraszam. Chyba obojgu nam zależy, żeby się z tym uporać. Ważny jest warunek numer dziewięć - żeby lubiła życie rodzinne. Ja na przykład bardzo to lubię, a także Erykę i Erinn.

- To twoje siostrzenice?

- Tak. - Uśmiechnęła się i twarz jej się rozjaśniła. - Tu widzę coś ciekawego. Lubisz być na świeżym powietrzu, więc oczywiście chciałbyś kogoś, kto też to lubi. Zgodność charakterów to podstawa.

- Cieszę się, że wreszcie się zgadzasz - powiedział sucho

i zawiąnął w papier nie dojedzoną bułkę tak, by Tess nie zauważyła. W tej sytuacji każdy by stracił apetyt.

- Kilka nazwisk na mojej liście spełniałoby te warunki - rzekła.

- Tak? A kto?

- Muszę porównać obie listy i wtedy ustalę, która dziewczyna będzie dla ciebie najodpowiedniejsza. A potem się zorientuję, czy będzie chciała cię poznać.

- Nie chcę osoby doskonałej. Najlepsza byłaby taka jak ty, Tess.

- O, dziękuję... no pewnie, że tak. — Nie wiadomo, czy z powodu upału, czy coś ją zawstydziło, w każdym razie nagle zaczerwieniła się.

- Nie chciałem cię urazić. Czy rzeczywiście tak bardzo dałem ci się w szkole we znaki? Jak mogłem dokuczać komuś takiemu jak ty! Mam na myśli osobę miłą, atrakcyjną, z zainteresowaniami, bez wielkich doświadczeń randkowych. Czy to trafna charakterystyka?

- A skąd wiesz, że ja od czasów szkolnych nie odbyłam tysiąca randek?

- No, nie wiem. - Takie rzeczy się wie, pomyślał, starając się jednak, by nie zauważyła, że jest z siebie bardzo zadowolony.

- Na liście mam bardzo dużo nazwisk - znajome, siostry znajomych, kuzynki znajomych, przyjaciółki znajomych, znajomi klientów, krewni...

Roześmiał się,

- W ten sposób ograniczamy się do wszystkich niezamężnych pań w okolicach Detroit.

- Niezupełnie, ale jest przynajmniej dziesięć osób, co do

których można mieć nadzieję. Przejrzę to jeszcze, a potem będę negocjować.

Wstała, strzepując okruchy z krótkiej kwiecistej spódniczki, co go zmusiło, by znowu przyjrzał się jej pięknym nogom.

- Negocjować jak umowę zbiorową?
- Musisz zrozumieć, że niektóre moje znajome mogą nie być specjalnie zainteresowane spotkaniem z tobą.

Teraz zrobił błąd. Roześmiał się.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała zdecydowanie.
- A przy okazji chciałabym ci jeszcze raz podziękować za możliwość obejrzenia nowej kolekcji waszej firmy. To było bardzo ciekawe.

Tess wróciła do pracy, poważnie myśląc nad tym, żeby zapisać się na ćwiczenia jogi. Cole wpadł po raz drugi bez uprzedzenia do sklepu. Głupio jej się zrobiło, gdy przypomniała sobie gwałtowne bicie swojego serca i przyspieszony puls. Zaskoczył ją. Tylko w ten sposób tłumaczyła sobie nagły wzrost poziomu adrenaliny.

Zamiast sobie przygotować plan pracy na przyszły tydzień, położyła obie listy, Cole'a i swoją, w kantorku za sklepem. Numerowane zestawienie samotnych znajomych obejmowało dwie strony, chociaż napisała je małutkimi literkami. Na samym końcu dopisała swoje nazwisko, jeszcze mniejszym pismem. Cole dostanie listę tych kandydatek, które się rzeczywiście nadają. Zaczęła skrobać papier końcówką pióra i zamazała swoje nazwisko. W co ty się pakujesz? - pomyślała.

Może go umawiać codziennie z inną przez wszystkie dni robocze, a w weekendy nawet z dwiema, na obiad i na

kolację. Zacznie od koleżanek ze szkoły. Te przynajmniej znają go ze słyszenia. Wszyscy pamiętali bliźniaków Baileyów, przynajmniej w czasach, kiedy Tess kończyła szkołę.

Odwróciła kartkę, napisała swoje nazwisko na czele listy, a potem znów zmazała, litera po literze.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy z ostatniej litery „n” w nazwisku zrobiła zamazany kwadracik.

- Słucham, czym mogę służyć? - zgłosiła się automatycznie i westchnęła.

- Pani Tess Morgan?

- Tak, słucham...

- Mówi Dorota Danzig, asystentka pana Marsha Bailey. Pan Bailey byłby zaszczycony, gdyby pani wzięła udział w promocji naszego nowego katalogu w najbliższą sobotę wieczorem.

- Ja?

- Koktajl odbędzie się między siódmą a dziewiątą w Hotelu Sherman, sala Windsor, potem o godzinie dziewiątej kolacja. Czy mogę panią wpisać na listę gości? Oczywiście, pan Bailey zapewnia transport.

- Będzie mi bardzo miło wziąć udział w promocji. - Czy to zabrzmiało dobrze, czy słusznie użyła słowa „miło”? Czy się nie wygłupiła?

- To wspaniale. Przyślemy po panią limuzynę o szóstej trzydzieści, jeśli mi pani poda swój adres domowy. Jeśli pani zechce, może pani przyjść z osobą towarzyszącą. O ile wiem, jest pani znajomą wnuka pana Bailey, ale proszę zaprosić kogoś według własnego uznania. Obowiązują stroje wieczorowe.

Tess powtórzyła datę i godzinę, a po rozmowie nabazgrała ją na marginesie swojej listy.

Czy została zaproszona dlatego, że podobała jej się kolekcja w laboratorium? A może dlatego, że skrytykowała limonkową zieleń krzeselka dla dzieci? Bardziej prawdopodobne, że dziadek Cole'a chciał przez nią zainteresować wnuka sprawami firmy.

Aranżowanie randek dla Cole'a szło bardzo gładko. W piątek wieczorem Tess poznała go z Jordan Collins, koleżanką z klasy, mieszkającą w pobliżu. Była dość chuda, ale Cole nie stawiał żadnych warunków co do wzrostu ani sylwetki.

- Miałam z nim w szkole wielką wpadkę - przyznała się Jordan, kiedy Tess zadzwoniła do niej wieczorem po pracy.

- Ale chyba nam wszystkim coś takiego się przytrafiło. Był z niego kawał cudownego łobuziaka.

- Ja nic takiego nie pamiętam - zełgała Tess.

Sobota okazała się jeszcze łatwiejsza. Margo Hendricks była jej naprawdę dobrą przyjaciółką i zgłosiła się sama, gdy Tess opowiedziała jej o wtorkowym lunchu. Nie знаła Cole'a, a właśnie rozstała się ze swoją sympatią.

- Nienawidzę mężczyzn, a randek w ciemno po prostu nie cierpię - powiedziała. - Ale chętnie się zrewanżuję za to, że tak długo wysłuchiwałaś moich opowieści o Ricku.

W piątek wieczorem Tess jeszcze nie była zdecydowana, co włożyć. Rozłożyła na łóżku pięć najlepszych sukni Karen i właśnie zdjęła szóstą, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Zarzuciła na siebie krótki różowy szlafroczek w nadziei, że

nie będzie to gość, którego musiałaby zaprosić do środka. Czemu się nie zdziwiła, kiedy ujrzała Cole'a? Czy sprawozdania z randek miały stać się rytuałem?

Uchyliła drzwi.

- Nie jestem ubrana. Udało się czy nie? Cole, nie trzymaj mnie w niepewności.

- Mam parę uwag. Mogłabyś je uwzględnić w przyszłym tygodniu.

- Nie zaciągnęłam się na całą kampanię!

— Pewnie, że nie. Zostałaś powołana. Masz gumę do żucia, albo coś słodkiego?

- No, już dobrze, wejdź.

- Będę sobie wyobrażał, że jesteśmy na plaży. Myślę, że możesz zdjąć jeszcze coś. A może chcesz, żebym zdjął koszulę?

- Przestań! Jak było?

- Poszliśmy tam, gdzie robią steki. Ale ona nie jada mięsa. No cóż...

- To się zdarza.

- Nie nosi nic ze skóry, nie nadeptnie na robaczka i jada tylko sałatki wykonane z produktów posiadających gwarancję, że nie były pryskane.

- Dobrze, jak człowiek się zastanawia, co wprowadza do organizmu.

- Nie mam nic przeciwko wegetarianom, ale jak za dwadzieścia pięć dolarów zamawiam befsztyk z polędwicy, to nie chcę, żeby go przyprawiano sarkazmem.

- Zrobiła ci wykład, co?

- Ona stara się oczyścić umysł drogą abstynencji, a więc żadnych używek, alkoholu, papierosów, czekolady...

- To dobrze, wygląda na to, że jest idealną kandydatką na żonę.

- Seks też nie wchodzi w rachubę.

- O... Chyba chodziło ci o taką dziewczynę, która nie sypia z każdym, który jej się trafi...

- Seks nie wchodzi w rachubę. Kropka. - Minę miał poważną.

- Przestań, przesadzasz.

- Z wyjątkiem, oczywiście, działań na rzecz przyszłości rodzaju ludzkiego, a więc raz na tydzień. Oczywiście, po ślubie. - Wetknął ręce w kieszenie i zaczął chodzić tam i z powrotem,

- Mówisz tak pewnie dlatego, że tak naprawdę nie lubisz randek w ciemno. - Stanęła nad nim niczym prokurator nad oskarżonym.

- Wcale nie. I wcale się nie czepiam. Nie potrafię nawiązać znajomości z kobietą, która uważa mnie za Kubę Rozpruwacza.

- Bardzo mi przykro.

- To nie twoja wina. Po prostu randki w ciemno nie są dla mnie.

- Nikt tego nie lubi.

- Dziewczyny też nie?

- To oczywiste.

Poszła do pokoju i w tej chwili zauważyła, że powinna była zamknąć drzwi do sypialni. Z pokoju widać było łóżko tak obłożone sukniami, że wyglądało jak sklep podczas sezonowej wyprzedaży.

- Pakujesz się? Dokąd się wybierasz? - Wszedł za nią i z ciekawością zajrzał do sypialni.

- Nie, zastanawiam się, co mam włożyć.
- Znowu wesele?
- Przyjęcie. W Sherwood Arms, więc muszę się jakoś elegancko ubrać.
- Z kim idziesz?
- Mogę iść, z kim chcę, ale kiedy ja mam mieć czas na życie osobiste?

Telefon zadzwonił akurat w chwili, kiedy chciała powiedzieć Cole'owi, co myśli o tym jego poszukiwaniu odpowiedniej narzeczonej.

Podniosła słuchawkę. Margot, jej przyjaciółka, z radością oznajmiła, że pogodziła się z Rickiem. Tess trzymała słuchawkę, jak mogła najdalej od Cole'a, najchętniej zamknęłyby się w łazience.

- Rozumiem - powiedziała do telefonu. - Cieszę się razem z tobą, ale teraz ktoś u mnie jest. Jutro do ciebie zadzwonię. - Odłożyła słuchawkę.
- Twoja randka nieaktualna. - Spojrzała na Cole'a.
- Ta jutro wieczorem?
- Tak. Właśnie zadzwoniła Margo, żeby powiedzieć, że to jutrzejsze spotkanie z tobą nie jest aktualne.
- Rozumiem. - Obliznął usta. - To znaczy...
- Cole, na jutro nikogo już dla ciebie nie znajdę.
- Nie szkodzi. Myślę o czymś innym.
- W takim razie... - Wzięła go za rękę, sądząc, że go poprowadzi w kierunku drzwi.
- No to w takim razie mogę jutro wieczorem iść z tobą.
- W oczach zabłysły mu ogniki.
- Chyba nie sądzisz...
- Powiedziałaś, że chcesz z kimś iść.

- Powiedziałam, że mogę kogoś ze sobą przyprowadzić.
- Tyle przynajmniej mogę zrobić dla ciebie po tych wszystkich kłopotach, których ci przysporzyłam.
- Cole, nie musisz mi się rewanżować.
- Czy mógłbym w ogóle myśleć o rewanżu za tę wypchaną fanatyczkę?
- Sam ją sobie wybrałeś!
- Albo tę groźną wegetariankę? O której wpaść po ciebie jutro?

Westchnęła.

- Najlepiej spotkajmy się w hotelu Sherman Arms. Bądź tam o wpół do siódmej.

W żadnym razie nie chciała, żeby zobaczył limuzynę, którą miał po nią przysłać jego dziadek.

- Dobrze, Przy okazji, w czarnym nie będzie ci dobrze.
- Spojrzał w kierunku sypialni, gdzie na łóżku leżały przeważnie czarne suknie.

- Ale tobie będzie. Obowiązują smokingi, czarny krawat. Chyba nie masz nic przeciwko temu? A więc do jutra - powiedziała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obok ogromnego bukiem kwiatów w holu hotelu stała kobieta tak zdumiewająco piękna, że Cole zaniemówił. Miała na sobie długą błyszczącą niebieską suknię bez rękawów, rozciętą powyżej kolan i włosy upięte misternie w koronę. Wyglądała jak królowna.

Rozejrzał się, ale nigdzie nie zauważył Tess. Czy spotkanie w tym miejscu wiązało się z jakąś tajemnicą?

Zrobił kilka kroków w kierunku cudownej zjawy, pewien, że zniknie jak fatamorgana. Tymczasem ona lekko się odwróciła i spojrzała na niego z nieco uwodzicielskim, figlamym uśmiechem.

- Tess! - Dawno nikt go tak nie nabrał.

wieczór randka nie doszła do skutku. - Ale czemu nie chciałaś, żebym cię tu przywiózł? Pożyczyłem od Zacka jego mustanga.

- Chyba lepiej było się spotkać tutaj. - Uśmiechnęła się przebiegle, co go jeszcze bardziej zdumiało.

Chciał jej powiedzieć, że wygląda wspaniale, zdumiewająco, fantastycznie, ale przecież to była Tess. Była przecież jego koleżanka.

- Idziemy? - Podał jej ramię. - A w ogóle, co to za uroczystość?

- Odbywa się w sali Windsor. - Nie odpowiedziała na jego pytanie.

Hotel starał się odtworzyć atmosferę świata dawno już nieistniejącego. Przeszli obok masywnych, pokrytych skórą foteli, a Cole pomyślał, jak by to było przyjemnie wziąć Tess na kolana i...

- Jesteśmy na miejscu. - Uśmiechnęła się szeroko.

Stoły zestawione były w kształcie litery „T” i nakryte obrusami. Zwrócił uwagę na ustawiony w samym środku olbrzymi bukiet ze storczyków, egzotycznych lilii i innych kwiatów, przybrany girlandami z dzieciennych grzechotek oraz różowych i niebieskich smoczków.

- O co tu chodzi? Przyjęcie na rzecz dzieci? Zaraz, niech zgadnę. Może na cześć córki gubernatora?

Chciał, by z jej ust już znikł ten uśmiezek Mony Lisy, chciał ją potrząsnąć, coś zrobić, żeby wreszcie powiedziała, o co tu chodzi.

- Nie wiedziałam, że masz taką bujną wyobraźnię. Co za miła niespodzianka.

- Czemu mi nie chcesz powiedzieć?

- Bo mnie nie pytasz. To prezentacja nowej kolekcji zimowej.

- To czemu to przyszedliśmy?

- Bo mnie zaprosił twój dziadek.

- Chciał, żebyś mnie tu ściągnęła?

- Nie. Nawet z nim nie rozmawiałam. Powiedziano mi, że mogę z kimś przyjść. Ty przecież miałeś mieć dziś randkę, pamiętasz?

- Odgrywasz się na mnie za to, że ci kiedyś wpuściłem żabę do tornistra? Że napuściłem na ciebie Harolda jak-mutam, który biegał za tobą przez dłuższy czas?

- To twoja sprawka? - Na jej twarzy odmalowało się zdumienie. - No nie, Cole Bailey, to było wstrętne!

- Tylko was swatałem. Mogłaś mi powiedzieć, dokąd idziemy.

- Nie masz o co się złościć. Na pewno będzie przyjemnie,

- Przyjemnie. - Prychnął z ironią. - Dziadek chce mnie wciągnąć do firmy. To jego kolejna intryga.

Kelner przeszedł koło nich, niosąc na srebrnej tacy kieliszki z szampanem. Cole wziął dwa, jeden podał Tess.

- Nienawidzę tego - powiedział. Wypił duży łyk. - Zwykle po szampanie boli mnie głowa.

- Nic dziwnego, pijesz go jak wodę.

- No nic, jak już tu jesteśmy, to chodźmy się bawić.

Objął ją i oparł dłoń na jej kształtnym, nagim ramieniu. Biodrem dotykała jego biodra, i zabawa zaczęła mu się podobać, ale przecież to była Tess. Człowiek nie może zrezygnować z przyjaźni dla paru łatwych wzruszeń.

- Tess, tak się cieszę, że przyszałaś. - Od grupki kilku osób, zapewne poważnych biznesmenów, odszedł Marsh

i uściśnął Tess obiema rękami tak mocno, że aż jej ramię zdrętwiało. - Cole, zrobiłeś mi niespodziankę.

- Na pewno, dziadku.

Stary lis bardzo nie lubił, by go nazywać dziadkiem. Dalej trzymał rękę Tess w swojej dłoni.

- Czy mogę na chwilę porwać tę miłą panią? - spytał.

Skierował to pytanie w kierunku Cole'a, ale oczy miał zwrócone na Tess. Czy ten stary... czy on myśli, że może... Nie! To absurd! Tess była zbyt rozsądna, aby...

Ale Marsh od dawna był wdowcem i jako biznesmen potrafił załatwiać sprawy. Cole nigdy nie sądził, że dziadek mógł się w kimś podkochać, tym bardziej teraz.

- Zgadzam się tylko na pięć minut - zastrzegł.

- Bardzo ładnie, że przyszedłeś w smokingu - powiedział Marsh.

Sformułował to tak, jakby pogłaskał małego chłopca po głowie. Cole z kwaśną miną patrzył, jak dziadek, obejmując wpół Tess, odchodzi w stronę tłumu gości.

Cole'a dopadł przyjaciel z dawnych lat, kibic drużyny Tygrysów, który zaczął mu przedstawiać swoje pomysły na temat poprawy sytuacji w klubie. Cole popijał szampana i próbował się dyskretnie wycofać, ale fanatyk sportu nie chciał się odczepić. Cole rozejrzał się za Tess. Znikła w tłumie gości.

Po długim czasie i wielu szampanach miał dosyć i chciał iść do domu, ale przecież nie mógł tego zrobić. Tess wprawdzie nie była jego dziewczyną, lecz przecież musiał ją odwiedzić do domu.

- Cole, strasznie się cieszę, że jesteś. - Sue Bailey objęła serdecznie syna.

- Cześć, mamó. Świetnie wyglądasz.

Rzeczywiście, Dawno nie widział jej tak uszczęśliwionej i ożywionej. Praca w firmie dobrze jej robiła.

- Tess wygląda cudownie. Od czasów, gdy ci pomagała w literaturze angielskiej, po prostu rozkwitła.

- Tak, tak, rozkwitła. - Kaktusy też kwitną, nie tracąc kolców.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że przyszedłeś tu z Tess. Nawet jesteś w smokingu.

- Tak, mamó. Nie wiesz, gdzie ona może być?

- Dziadek chyba chciał ją poznać z jakimś japońskim dostawcą.

Porozmawiał jeszcze chwilę z matką, ale w końcu i ona go opuściła. Cole chciał odnaleźć Tess „, ale okazało się to niemożliwe. Podano obiad. Usiadł na jednym z ostatnich wolnych miejsc, wyobrażając sobie, że może zobaczy ją przy głównym stole. Nic z tego.

Zobaczył ją dopiero wtedy, gdy zaczęły się toasty. Zasłaniał ją jakiś potężny blondyn, Niemiec, który wstał i przemówił z takim akcentem, że Cole nie był w stanie nic zrozumieć. Tess śmiała się tak bardzo, że aż trzęsły się loki jej wspaniałej fryzury.

Powinien był wyjść i trochę się odświeżyć. Jeśli dobrze pamiętał — aby się upewnić, spytał kelnerkę ubraną w jakiś staroświecki strój - do baru na dachu można było pojechać windą. Jeśli dziadek chciał go wprowadzić do firmy, to wybrał paskudną metodę.

Tess planowała usiąść przy stole obok Cole'a, ale Marsh po prostu wepchnął ją w ramiona Johanna. Nie miała za złe

staremu Baileyowi, ýe dbaù o to, by stary klient dobrze siæ bawiù, ale zaùatwiù sprawæ trochæ zbyt obcesowo.

Gdyby Cole byù naprawdæ jej chùopakiem, sytuacja wyglàdaùaby gùupio. Kiedy Cole siæ oýeni, trzeba bædzie pogodziã siæ z realiami i rozejrzeã za jakimù miùym chùopcem, który bædzie chciaù zaùoýyã rodzinæ.

Odszukaù Cole'a z pomocà kelnerki, która oczywiúcie pamiaetaù, ýe wsiadù do poupiesznej windy i pytaù o bar na dachu. Takiego chùopaka jak Cole zapamiaeta kaýda dziewczyna.

Z baru na tarasie rozciàgaù siæ wspaniaùy widok, chociaý Tess nigdy nie mogùa zrozumieã, co jest podniecajàcego w przyglàdaniu siæ smugom úwiateù reflektorów samochodowych na autostradach. To miejsce robiùo wraýenie azylu dla kochanków, znudzonych handlowców na delegacji i ludzi lubiàcych dobrze wypiaã. Chyba tylko barman widziaù w tym cou wiæcej.

Na szczæúcie Tess nie musiaù chodziã od stolika do stolika. Cole usadowiù siæ na wysokim barowym stoùku, nogæ oparù na metalowej barierce. Nie widziaù, kiedy Tess weszùa.

Chyba zùy duch podszeptàù jej, by stanæùa za nim i szturchnæùa z obu stron pod ýebra. Cole wrzasnàù i zeskoczyù ze stoùka. Dobrze mu tak, ma wreszcie za swoje.

- To za ýabæ!

- A gdyby to byù wàý? Czego siæ napijesz? - Mówiù z przesadnà starannoúcià, jak ktoù, kto ma juý trochæ w czubie. No tak.

- Poproszæ o ciemne piwo. - Po szampanie i obiedzie podano obfity deser czekoladowy i czuùa siæ bardzo syta,

- Skoñczyù siæ? - spytaù.

- Nie, jak wychodziłam, pojawiła się orkiestra.
- No i co, ten Hans nie chciał zatańczyć? —w jego głosie brzmiała nuta rozdrażnienia.

- To twój dziadek mnie posadził obok niego. Ma na imię Johann.

- Wszystko jedno. Wyszedłem, żeby ci ułatwić sytuację. Nie jestem twoim chłopakiem.

- Oczywiście.

- Miałaś tyle kłopotu z tymi dziewczynami dla mnie, więc z kolei ja chciałem coś zrobić dla ciebie.

- Może to tak wygląda, Ale wiele moich koleżanek chętnie się z tobą umówi. —Dostała swoje piwo. Popijała je małymi łyčzkami, Cole przyglądał się jej spod przymkniętych powiek. - Możemy iść, jeśli chcesz - powiedziała.

Nie miała jednak ochoty wychodzić. To był jej bal Kopuszka, a przecież jeszcze nie rozmawiała ze swoim księciem. Szkoda...

- Chodźmy.

Nie dopiła już swojego piwa. Cole nacisnął guzik windy i wtedy przypomniała sobie o limuzynie, która ją tu przywiozła. A więc nie wrócą razem. Wysiedli z windy, wziął ją pod ramię i skierował w stronę sali balowej.

- Myślałam, że chcesz już iść - powiedziała.

- A jaki byłby ze mnie opiekun, gdybyś ze mną nie zatańczyła?

- Nie musisz zostawać, Cole. Wiem, że nie masz na to ochoty.

- To za Harolda, prawda? Powiedziałem mu, że się w nim kochasz.

- A ja myślałam, że to Zack był tym rozrabiaką.

- On też, ale ja byłem bardziej twórczy.

Orkiestra grała do tańca. Cole poprowadził Tess po błyszczącej posadzce na drugi koniec sali.

Tyle razy marzyła, by z nim zatańczyć; wydało jej się, że śni. Czując ciepło jego rąk na talii, zamknęła oczy. Pozwoliła mu się prowadzić zupełnie bezwiednie. Dotykała policzkiem sztywnego gorsu jego koszuli i jedwabnych wyłogów smokingu.

- Dobra jesteś - szepnął. Ciepły oddech drażnił jej ucho.

- Bo ty dobrze prowadzisz.

Oparł policzki na jej czole. Poruszał się płynnie, z wdziękiem, który już dawniej robił na niej wrażenie. Był gwiazdą szkolnych zawodów lekkoatletycznych. Podobało jej się, jak tańczy. Czy można wymarzyć sobie coś cudowniejszego niż poruszanie się z nim, w rytm jego ruchów?

- Przepraszam, odbijany! - Johann wcisnął się w przerwie między kolejnymi kawałkami.

- Niestety, w Detroit nie ma tego zwyczaju - powiedział Cole, nie puszczając jej ani na chwilę. Odpłynęli, zanim znowu zabrzmiała muzyka.

- To nie było ładnie - zauważyła Tess.

Ile razy Kopciuszek miał swój wielki dzień, bał zawsze kończyć się niedobrze.

- Chyba muszę wezwać taksówkę. Nie powinienem prowadzić.

- Masz rację, ale ja cię mogę podrzucić limuzyną.

- Czym?

- Limuzyną. Twój dziadek przysłał ją po mnie.

Trudno uwierzyć, ale długi, błyszczący pojazd czekał dokładnie tam, gdzie się umówiła z kierowcą. Poczowała się głu-

pio, że ten człowiek przez cały wieczór nic innego nie robił, tylko czekał na jej wezwanie.

Tylne siedzenie było o wiele za szerokie. Usiadła przy jednym oknie, Cole przy drugim. Między nimi było dość miejsca dla dwojga grubasów. Cole nie zdradzał chęci podtrzymania nastroju, który ich połączył na parkiecie. Prawdę mówiąc, nie była nawet pewna, czy czasem nie zasnął.

Jazda ze śródmieścia do jej mieszkania na wzgórzach Madison za dnia trwała około czterdziestu minut. Limuzyna przebyła tę odległość z prędkością światła.

Gdy stanęli przed jej domem, Cole zaproponował:

- Odprowadzę cię do drzwi.
- Po co? Przecież to nie randka.

Wyszedł za nią, kiedy szofer otworzył drzwi. Do jej domu było kilkanaście metrów. Szkoda, że nie kilkanaście kilometrów, pomyślała.

- Powiedz mi - rzekł, chwytając ją za rękę - czy po pierwszej randce powinienem pocałować dziewczynę?

- To zależy od ciebie i od niej.
- A jak dziewczyna to przyjmie?
- Myślę, że to będzie zależało od tego, czy cię będzie lubiła, czy nie. - Tak jakby któraś mogła go nie lubić.

Doszli do drzwi, nad którymi jarzyło się światło. Teraz wołałaby, żeby oboje rozpułnęli się w ciemności.

- Nie mam pojęcia, Tess. Naucz mnie, jak to jest z dziewczynami.

- Nie chcesz mieć kłopotu podczas randki?
- Pewnie, że nie chcę. Gdybym był trzeźwy, tobyś mi udzieliła lekcji praktycznej, prawda?

- Mój drogi, wypiełeś za dużo. - Serce biło jej tak mocno, że mógł je usłyszeć.

- Nie, naprawdę muszę nabrać wprawy, zanim znowu ruszę na randki w ciemno. Każdy normalny chłopak chciałby całować tak piękną dziewczynę jak ty, ale czy dziewczyna taka jak ty mu na to pozwoli?

- Cole, szofer patrzy, to krępujące...

Zbliżył się do niej. Kiedyś dałaby wszystko - naprawdę wszystko - za jeden jego pocałunek na dobranoc. A teraz miała szansę przekonać się, ile były warte jej marzenia. Delikatnie dotknął ustami miejsca powyżej jej warg. Objęła go wpół. To był najwspanialszy pocałunek, takiego nie przeżyła jeszcze nigdy.

- Czy to nie za wiele? - spytał, dotykając ustami jej ucha, które napełnił swym ciepłym oddechem.

- Pewnie, że za wiele. - Miała na myśli, że było to nazbyt rozkoszne jak na taką niby-randkę.

- Tess, muszę ci coś powiedzieć... Za bardzo jestem zmęczony, żeby teraz wracać do samochodu.

- Cole, musisz jechać do domu. Już.

- Pozwól, że się położę na twojej kanapce - wymamrotał.

- Tylko na chwilę.

- Nie!

- Proszę...

Obejmował ją dalej. Ręce opadły mu tak nisko, że mogłaby na nich usiąść.

- Cole, w ten sposób nie wolno się zachowywać na pierwszej randce!

- Położę się na twoim progu.

- Szofer nie będzie czekał, aż się wyśpisz.

Czuła, że ten wielki chłopak się słania. Jeśli zwali się na ziemię, to Tess nie da rady postawić go na nogi.

Machnęła ręką w stronę szofera.

- Niech pan jedzie!-krzyknęła.

Cole od razu pewniej stanął na nogach, wyjął jej klucz z ręki i otworzył drzwi.

- Chciałeś spać na kanapce, to proszę bardzo. - Zostawiła go i szybko przeszła do sypialni, zamykając z trzaskiem drzwi.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dzień dobry, lwie salonowy.

Cole bezskutecznie spróbował wyprostować nogi. Był w ubraniu, w którym czuł się jak mumia.

- Kanapka była wygodna? - Tess promieniała.

- Jakbym spał na regale.

- Co ci podać? Kawę, sok, aspirynę?

- Proszę cię, daj mi wszystko razem. Ostatni raz byłem w takim stanie na balu absolwentów uniwersytetu.

Ścisnął skronie.

- Chyba jestem uczulony na szampana.

- Jeden łyeczek i już tak źle?

Była pewna siebie i wesoła; postanowił zepsuć jej dobry humor. Pod szlafroczkim miała krótkie białe szorty, w których dobrze było widać jej wspaniałe nogi.

- Męczysz mnie tak po prostu, dla przyjemności? - Usiadł ostrożnie i opuścił nogi na podłogę. Musiał przyznać, że wyglądało to głupio, prawa noga bosa, lewa w czarnej jedwabnej skarpetce.

- Bardzo mi przykro. - Ale przykrość trudno było rozpoznać w jej głosie. - Jeśli cię boli głowa, zrób sobie masaż, o, w ten sposób.

- A czy można mieć kaca bez bólu głowy?

- No, właściwie...

Wzruszyła ramionami i wtedy Cole zorientował się w sytuacji. Tess udawała, że facet, który rano budzi się na tej kanapie, to nic takiego, normalka. A on mógłby się założyć, że jest pierwszy.

- Zrobię kawę - powiedziała i znikła w kuchni. - Aspiryna jest w szafce, w łazience.

Ochlapał twarz zimną wodą w łazience, ale nie zmył winy. Tylko udawał, że jest wstawiony, żeby pocałować Tess. Stała się obiektem pożądania jak zakazany owoc. Nie całuje się przecież przyjaciółek, zwłaszcza jeżeli chcą nam znaleźć żonę. Na jedno na pewno nie mógł sobie pozwolić: na przelotny flirt z Tess. To by zniweczyło cenną przyjaźń.

Cholera, po co grał w orła i reszkę z Zackiem. Jak mógł przypuszczać, że wygra? Z drugiej strony, od lat nie widział matki w tak dobrym nastroju. Nie może jej zawieść. Musi zrobić wszystko, żeby dziadek nie sprzedał udziałów.

Pomyślał o szczęśliwym bracie i jęknął. Obiecali przecież, że podadzą wstępny kosztorys renowacji jakiejś kuchni. Żona dyrektora pewnej firmy zaprosiła ich obu na przyjęcie z zimnym bufetem. Budowę kondominium skończą przed jesienią, I co dalej? Muszą szukać pracy na zimę, żeby utrzymać załogę.

Ruszył do kuchni. Wypił najpierw wielką szklanekę soku pomarańczowego, a potem zabrał się do kawy. Tess udawała, że jest bardzo zajęta.

- Dziękuję - powiedział.
- Za kawę? Proszę bardzo.
- Że zatrzymałaś mnie na noc.

— Po to jest ta kanapka.

- Och, przecież muszę odebrać samochód Zacka. - Akurat teraz sobie o nim przypomniał.

- Chętnie bym cię podrzuciła do miasta, ale mam uroczystość rodzinną, wielki obiad i te rzeczy.

- Nie szkodzi. I tak muszę zadzwonić do Zacka. Mamy dziś podać wstępny kosztorys.

- Dziś? W niedzielę?

- W naszej branży klient jest dyktatorem.

- No, skoro Zack może cię podwieźć... - Jej wesołość była trochę sztuczna..- Muszę ci podziękować, że poszedłeś ze mną na to przyjęcie. Specjalnie się nie ubawiłeś.

- Nie było tak źle. - Uśmiechnął się do niej znacząco, ale przeszył go znowu nagły atak bólu głowy.

Zadzwonił do Zacka, który mu nagadał, że zostawił samochód na parkingu w śródmieściu, ale czy Cole kiedykolwiek liczył się ze zdaniem brata?

Zack zaczął działać, kiedy się dowiedział, że samochód jest na łasce dozorca parkingu. Pobił rekord szybkości przejazdu do Tess z ich mieszkania w Livonii, gdzie bracia mieszkali razem. Dopóki firma nie zacznie przynosić dochodów, nie mogą sobie wybudować własnych domów.

Cole zobaczył, że czerwony pikap właśnie wjeżdża na pobliski parking, i pobiegł w tamtą stronę.

- Cole, zapomniałeś krawata. - Tess wyszła na dwór. Krawat dyndał jej na palcu jak trofeum.

Wrócił i dziękując, chwycił krawat. Czuł się jak mały chłopczyk, który zapomniał śniadania.

- Czy to jest Tess Morgan, ta Tess Morgan? - spytał Zack, odjeżdżając. - Spędziłeś z nią noc? No-no.

- Za dużo wypilem szampana. Spędziłem noc na jej kanapie. Żadne „no-no”!

- Może to będzie ta?

Wiedział, co Zack ma na myśli. Dawno się nie pobili, ale może teraz...

- Na pewno nie - wymamrotał.

Zack zaczął gwizdać melodię, która sygnalizowała, że należy się rozejrzeć za dziewczynami.

- Ma tyle zdrowego rozsądku, że na pewno nie będzie mnie chciała - wymamrotał Cole.

- A może myśli, że się zmieniłeś? Chce cię poznać ze swoimi koleżankami, tak czy nie? Czyli nie myśli o tobie źle.

- Po prostu w tym sensie mnie nie interesuje, rozumiesz?

- Ale czemu? Jestem nią zachwycony. Kto by przypuszczał, że Tess zrobi się taka ładna i seksowna. Jak przyjdzie na mnie kolej, wezmę ją pod uwagę.

Zack potrafił być czasem bardzo denerwujący.

Tess próbowała dodzwonić się do Cole'a w poniedziałek wieczorem, potem we wtorek i w środę. Nie odpowiadał na jej telefony. Czy był zły z powodu przyjęcia firmowego, czy może uznał, że jak na platoniczną przyjaźń są ze sobą zbyt blisko? Tak czy owak, była w głupiej sytuacji. Umówiła kolejną znajomą na spotkanie z nim w piątek wieczorem. Miała jednak ochotę odwołać tę randkę i w ogóle przestać się tym dalej zajmować. Po co ma dziewczynom zawracać głowę? To niepoważne.

Tym razem zrobiła rzeczywiście dużo. Melissa Van Cortland była kuzynką Lucindy, nie żadną przyjaciółką. Na pewno była ładna - ciemnowłosa, wysoka i smukła jak trzcina.

Co więcej, spełniała warunki z listy Cole'a, bo lubiła się bawić, miała miłe usposobienie, uprawiała sporty. Była oczywiście młodsza od Cole'a.

Tess głupio było odwoływać tę randkę, ponieważ przedstawiła Melissie Cole'a jako skrzyżowanie supermana z rozkosznym pieseczkiem. Więc Cole nie wywinie się, chociaż nie odpowiada na telefony.

Wyszła ze sklepu, zakładając, że wróci najdalej za dwie godziny, ale teren budowy kondominium znajdował się dalej, niż przypuszczała. Wreszcie osoba o zachrypniętym głosie, która prowadziła biuro firmy Baileyów, udzieliła jej właściwych wskazówek. Tess spodobało się to, co zobaczyła, gdy w końcu dojechała na miejsce. Zachwycający starodrzew obrastał kręty biały betonowy podjazd, który wił się, prowadząc w stronę długiego szeregowca z obszernymi balkonami na drugim piętrze. Gotowy był już plac zabaw z huśtawkami, zjeżdżalnią i drabinkami.

Tess znalazła Cole'a w trzecim z segmentów, do którego zajrzała. Klęczał, zakładając uchwyt w kuchennym kredensie. Brudne dżinsy zsunęły mu się tak bardzo z bioder, że widać było biały pasek i granatowe majtki. Nie miał na sobie koszuli. Jego brązowe ciało błyszczało od potu. Przyglądała mu się przez chwilę. Nigdy jeszcze nie widziała z bliska kogoś równie przystojnego. Zaskoczyła go, kiedy siedział wtedy na stołku w barze, więc fajnie by było, gdyby... No nie, dość tych bzdur!

- O co chodzi? - spytał, nie patrząc.

- O ciebie.

A jednak go zaskoczyła.

- Myślałem, że to Zack - powiedział.

Wstał, podciągnął spodnie i zerknął w jej stronę. Zaczepił palce o pasek.

- A to ja, nie Zack.
- Właśnie, zawsze was odróżniam.

Przyjechała aż ta, by mu powiedzieć parę słów prawdy, ale widok jego nagiego ciała trochę ją zbił z tropu. Czemu mężczyznom wolno rozbierać się do połowy?

- Piękne domki - powiedziała, rozglądając się dokoła, żeby nie patrzeć na niego. - Podobają mi się fasady, a zwłaszcza te wielkie okna.

- Dziękuję. Co cię tu sprowadza? Chcesz mieć taki domek? Na pewno?

- Na razie nie. Wszystko, co mam, inwestuję w sklep.
- Wiem, jak to jest.
- Odebrałeś wiadomość ode mnie?
- Wszystkie osiem.

- Cole, randki w ciemno to twój pomysł. Tym razem załatwiłam wszystko jak trzeba. Piękna, zgrabna, da się lubić. Wygrywa zawody golfowe, na twojej liście znalazłam taki warunek. Właśnie ukończyła studia.

- Chyba za młoda.

- Ty też nie masz jeszcze trzydziestu lat.

- Ale prawie. - Zachowywał się tak, że miała ochotę nim potrząsnąć. - Może ten pomysł z umawianiem mnie nie jest taki dobry.

- Nie gadaj głupstw! Namówiłam ją, żeby się z tobą spotkała. Jeżeli każesz mi odwołać ten piątek, to już nigdy, ale to nigdy z nikim cię nie umówię.

- Ależ ja chcę iść - powiedział pojednawczo.

Tess uśmiechnęła się szeroko.

- Przyjdiesz? A czemu nie odpowiedziałeś na moje telefony?

- Byłem zajęty.

Podał jej rękę, bo właśnie szła do drzwi nad stertą starych desek.

- Zajęty? Zmusiłeś mnie, żebym tu specjalnie przyjechała po odpowiedź. Ja też pracuję na kawałek chleba, jak może wiesz.

- Przykro mi.

- Nie znoszę, kiedy ludzie, którym nie jest przykro, mówią, że jest im przykro.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Jesteś niemożliwy!

- Byłem bardzo zajęty. Pierwszy domek ma być gotowy zaraz po Świącie Pracy.

- No, a ja jestem zbyt zajęta, by organizować randki dla kogoś, kto nigdy w życiu nie zadał sobie trochę trudu, by samemu zaprosić dziewczynę na wieczór.

- Ufam bardziej tobie niż sobie.

Wyszedł za nią na dwór, żeby ją odprowadzić do samochodu, a przynajmniej tak to wyglądało.

- Jeszcze z jednego powodu nie oddzwoniłem... Jest mi bardzo głupio, że się źle zachowałem, no wiesz, w sobotę. Nie byłem w formie.

- Chodzi ci o to, że mnie pocałowałeś?

- Nie, to było cudowne, piękne. Bałem się, że źle to odbierzesz...

- To nie był mój pierwszy pocałunek, Cole.

- Wcale tak nie myślę.

- Całowałam się tysiące razy, miliony, biliony.

- Masz zapewne za sobą straszną przeszłość, o której nic nie wiem. - I tu zrobił coś, czego nie powinien. Uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko tu zapisałam, jej nazwisko, telefon, restaurację, w której zarezerwowałam wam stół, godzinę, o której się spotkamy...

- Przywiesz ją?

- Nie, oczywiście, że nie. Adres ci też zapisałam.

- Napisałaś mi to wszystko? - Zerknął na nią i wziął papieraś do ręki.

- Spotkamy się tam o siódmej.

- My?

- To będzie randka podwójna.

- A ty będziesz przyzwoitką? Boisz się tę dziewczynę zostawić ze mną sam na sam? - Otworzył wprawdzie drzwi samochodu, ale zastąpił jej drogę.

- Też mam randkę... Myślałam, że fajnie będzie razem... Go o tym sądzisz?

- Dobrze, zabiorę ją i potem się spotkamy. A może i ciebie zabrać?

- Zack uważał, że prościej będzie, jak wszyscy spotkamy się w restauracji.

- Zack? Znasz jakiegoś Zacka?

- Ty też.

- Ale chyba to nie mój brat?

- Zadzwoń do mnie, w przeciwieństwie do ciebie.

- Cudownie, po prostu cudownie.

- Nie zepsujemy ci zabawy. Jak ci się to nie podoba, pójdziemy gdzie indziej.

- Ależ skądże, po prostu świetnie. Zobaczą się zatem

z tobą i z Zackiem w piątek wieczorem. - Odszedł nie żegnając się z Tess.

- Wszystkiego dobrego! - krzyknęła za nim tonem zarezerwowanym dla klientów, którzy kupowali coś drogiego, a potem zwracali towar.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wszystko poszło zupełnie inaczej, niż myślała Tess.

Cole przyjechał po dziewczynę. Pojechali razem do restauracji.

Wyglądało zatem, że Tess spisała się tym razem doskonale. Melissa robiła wrażenie, była naturalna i życzliwa, tylko chwilami wypowiadała się jak snobka, ale to mogło wynikać z nerwowości związanej z pierwszą randką.

Cole natomiast nie potrafił ukryć niezadowolenia z tego, że Zack miał towarzyszyć Tess. Bratu przecież nie chodziło o małżeństwo ani o żaden inny układ na dłuższą metę.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Cole, otwierając Melissie drzwi samochodu.

Przeszła szczęśliwie trudną próbę wysiadania z półciężarówki. Ale czy mogło być inaczej, skoro jej żółta minispódniczka leżała na niej jak droga skóra? A może to on się starzeje, bo wołałby, żeby jednak pod białą jedwabną bluzeczką miała staniczek.

Melissa ciągle mówiła o golfie. Jej dziadek włożył tyle w naukę i treningi, że ani Cole, ani Zack przez całe lata tyle się nie nagrali. Ale Cole jej tego nie powiedział.

- O, jest Tess. Chyba jej chłopak jeszcze nie przyszedł.

Cole uśmiechnął się niechętnie, ale nic nie odpowiedział.

- Cześć. - Tess czekała przed ciężkimi drewnianymi

drzwiami ze sztucznymi okuciami, które nawiązywały do morskich tradycji restauracji. - Chyba przyszedłam za wcześnie. Zacka jeszcze nie ma.

- A właśnie, Zack...

To dla twojego dobra, pomyślał z poczuciem winy.

- Gdzie jest?

- Załatwia pewną nagłą sprawę. Związaną z kafelkami. - Skrzywił się. Powinien był wystąpić z czymś lepszym, ale teraz było za późno.

- Mianowicie? - Brzmiało to jak pytanie nauczycielki, która złapała małego chłopca na pisaniu brzydkich słów na tablicy.

- Obiecaliśmy położyć kafelki w łazience u jednej pani, która odnawia mieszkanie. Zapomnieliśmy o tym, a tymczasem ona jutro ma jakichś ważnych gości. Jeden z nas musiał to załatwić. Rzucaliśmy monetą. Padło na Zacka.

Nie wspomniał wprawdzie, że sprawę kafelków zataił, aż było za późno, by posłać któregoś z ich ludzi. Ani o tym, że długo grzebał w starej skrzyni, by znaleźć monetę o dwóch reszkach ze swojego zestawu magicznego, który dostał, mając siedem lat. I w ten sposób Zack przegrał.

Miał jeszcze na wszelki wypadek inny plan, mógł zamknąć brata w magazynie na budowie. Tak czy inaczej, nie chciał pozwolić na to, by Tess zaangażowała się w związek z Zackiem. Nic dobrego by dla niej z tego nie wynikło. Więcej kłopotów niż pożytku.

- Czemu Zack do mnie nie zadzwonił?

- Może już wyszłaś.

- A może nie zauważyłam światełka na mojej sekretarce. Bardzo się śpieszyłam.

- Zack na ogół nie zostawia wiadomości - improwizował Cole.

- No to trudno, bawcie się dobrze.

- Poczekaj! Zjemy kolację w trójkę.

- Nie, nic z tego - odrzekła. - Troje to za wiele.

- Masz rację - zgodziła się Melissa, kładąc rękę na ramieniu Cole'a.

.- Ale Zack chce tu przyjechać, jeśli robota nie potrwa zbyt długo. Powiedział, żeby zamówić...

Bujał. Cole miał przeprosić za brata i powiedzieć, że Zack zadzwoni do Tess na drugi dzień.

Nawijał, jak się dało, byleby tylko Tess z nimi została. Już nie chodziło mu o to, by ją odciągnąć od Zacka. Być może sumienie go trochę ruszyło, a ponadto nie chciał dopuścić, żeby Tess wróciła do domu sama.

- To nie wygląda przekonująco - stwierdziła z wyraźnym przekąsem.

Cole otworzył ciężkie drzwi, przytrzymał kolanem, jedną ręką skierował Melissę do wnętrza restauracji, a drugą objął Tess. Obsłużyć obie panie naraz to było coś, prawda? Wyobraził sobie, że walczy pod wodą z dwoma rekinami jednocześnie, może z powodu sugestywnego wystroju restauracji, pełnej lin, kotwic, sieci, mosiężnych okuć i zasuszonych okazów fauny morskiej.

Obiad mógł wypaść gorzej. Melissa zamówiła polędwicę średnio wysmażoną i zjadła wszystko z wyjątkiem ostatniego kęsa, co miało oznaczać, że nie jest szalenie żarłoczna.

Tess wzięła pieczonego pstrąga i poprosiła kelnera, żeby usunął głowę przed podaniem, co znaczyło, że nie lubi, żeby obiad na nią patrzył. Cole poczuł się jak ta biedna ryba.

Kiedy tylko zaczęli rozmawiać z Tess, zaraz wtrąciła się Melissa.

- Czy wszystkie domy już są sprzedane? - spytała, nie czekając na odpowiedź. - Mam znajomą, która kupiła domek aa Florydzie w pobliżu terenów golfowych. Nigdy nie musi kupować piłek. Po prostu wpadają przez płot, i to nowiutkie, prawie nieużywane. Oczywiście utrudnia to opalanie, ale, ponieważ jest ruda, i tak nie może być na słońcu dłużej niż piętnaście minut, bo inaczej spiecze się na raka. A twoja opalenizna, Cole, jak długo się utrzymuje?

Rzucała pytania niczym reporter, ale na ogół nie czekała na odpowiedź. Cole pochwyił wzrok Tess, ale wtedy ona szybko spojrzała w bok.

- Czy na pewno Zack przyjdzie? - spytała Tess.

- Na pewno, jeśli tylko będzie mógł. Z tymi kafelkami nigdy nie wiadomo.

Zmrużyła oczy i wyduła usta, jakby nabrała wątpliwości.

- Powinam już iść. Może nie będę jadła deseru...

- Już zamówiłaś. - Cole skinął na kelnera, który właśnie nadchodził, niosąc świeże jagody z bitą śmietaną dla pań, a dla niego ciasto. - Proszę bardzo.

Jedli deser, a Melissa dalej zasypywała ich potokiem słów. Jej głos brzmiał drażniąco. Była śliczna, ale strasznie gadatliwa. Może trochę było w tym jego winy, że nalegał, by zjedli obiad w trójkę, ale przecież nie mógł pozwolić na to, by Tess wracała sama do domu.

- Przepraszam - powiedziała Tess, wstając.

- Chyba nie wychodzisz tak wcześnie? Zack może jeszcze przyjdzie... - rzekł Cole.

- Idę do toalety.

- Byłeś kiedyś za granicą? - Melissa zadała pytanie i czekała na odpowiedź.

Zaczął jej opowiadać o obozie wędkarskim w Kanadzie, gdy wtem poczuł, że położyła mu stopę na udzie.

No tak, wiedziała bardzo dobrze, co robi, ale wywołała zupełnie inną reakcję, niż się spodziewała. Cole ujął jej nogę w kostce. Chciał ją zdjąć ze swego uda, ale zrozumiała to zupełnie inaczej i dalej chichotała uwodzicielsko.

Nagle wstał, o mało przy tym nie przewracając krzesła.

- Przepraszam - rzekł.

Po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego ustawia się wielkie donice z dekoracyjnymi drzewkami. Za jednym z nich ulokował się, czekając, aż Tess wyjdzie z toalety.

- Pozwól na chwilę - szepnął i złapał ją za rękę, kiedy przechodziła obok.

- O co ci chodzi?

- Schowałem się przed twoją przyjaciółką.

- 'No-nie! - jęknęła dramatycznie. - Fakt, trochę za dużo mówi. Może jest nerwowa. Może ta podwójna randka specjalnie się jej nie podoba. Naprawdę zrobiłam, co mogłam.

- Jak tylko wstałaś od stolika, zaraz zaczęła się do mnie przystawiać.

- Bądź poważny! W restauracji? Na pierwszej randce?

- Włożyła mi stopę między nogi.

- Ależ tego nie mogła zrobić!

- Nie?

- No, nie.., Pewnie ci się to podobało?

- Wcale mi się nie podobało. Nie odpowiadam za bezwiedne reakcje organizmu.

Gdyby nie był tak bardzo zdenerwowany, to poczyniłby

ważne spostrzeżenie. Przy wsiadaniu do samochodu widać było, że Melissa nie ma na sobie majtek.

- Po co mi to mówisz? Idę do domu - powiedziała Tess.

- Nie pójdziesz!

- Zack już nie przyjdzie. Jesteś dorosły. Załatw to do końca.

- Czy nie czujesz się ani trochę odpowiedzialna, że umówiłaś mnie z taką podrywaczką?

Za wszelką cenę chciał, by Tess została. Było to oczywiste i nie miało absolutnie nic wspólnego z Melissą. Gdy Tess jest w pobliżu, słońce świeci i świat jest w porządku. Po prostu nie wiedział, jak ma się wycofać z całej afery, a wszystko przez to, że pewnego dnia poprosił Tess, by została jego swatką.

- Musisz się jej pozbyć. - Chciał jej powiedzieć: Proszę cię, zostań, chcę być tylko z tobą.

- Ja? Przecież umówiła się z tobą. Ty ją tu przywiozłeś.

- Ale jest z nią kłopot. Ty sobie poradzisz z czymś takim dużo lepiej niż ja.

- A co ja mam zrobić? Powiedz, że jest następna sprawa z kafelkami, że ona musi mnie odwiedzić do domu, a ty pojedziesz ratować kolejny prysznic. - Spojrzała na niego.

- Nie powinnaś mnie była z nią zostawiać.

Chciał, żeby już było po wszystkim. Po tej całej gadaninie. Chciał rozmawiać tylko z Tess, mimo że ona uważała go pewnie za palanta.

- Przepraszam, że wyszłam do toalety.

- Ale już tam więcej nie chodź! - udało mu się to powiedzieć z uśmiechem.

- Już czas, żebyśmy wszyscy stąd poszli. Jutro sama mu-

sze otworzyć sklep, bo moja pomocnica pojechała do Cleveland na wesele.

- Ktoś musi odwieźć Melissę do domu. - Ciekaw był, jak długo Tess będzie bawić się z nim w kotka i myszkę.

- Oczywiście, ty ją odwieziesz! - wykrzyknęła.

- W żadnym razie!

- To twoja dziewczyna. Jest wspaniała, życzliwa...

- Agresywna...

Tess nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Nie opowiadaj mi takich rzeczy. Cole Bailey, zdobywca serc niewieścich, postrach wszystkich rodziców córek, wystraszył się dziewczyny.

- Nie boję się jej, po prostu lubię sam zrobić pierwszy ruch. Ona nie jest w moim guście, ale oczywiście nie chciałbym zrobić jej przykrości.

- Ale kiedyś byłaby w twoim guście?

- Gust się zmienia.

- A więc już nie lubisz pięknych, seksownych, chętnych dziewcząt?

- Wolę takie bardziej podobne do ciebie.

Jak już inaczej się nie da, staraj się być uczciwy, powiedział sobie w duchu.

- Trudno mi z tym dyskutować. - Z ociąganiem spytała: - To co mam zrobić?

- Wyjdź i udawaj, że samochód nie chce ci zapalić. Potem wróć tutaj, a ja wtedy zaproponuję, że cię odwiozę. W ten sposób nie zostanę sam na sam z Melissą.

- Czy to nie jest trochę śmieszne? Ilekroć jesteśmy razem, zawsze trzeba zostawić samochód.

- Wrócimy po niego.

- Nie zajmie nam to wiele czasu. Tylko parę godzin, żeby przejechać przez miasto w nocnym ruchu ulicznym.

- Masz rację, Tess.

Po wyrazie jej twarzy poznał, że nie to chciała usłyszeć. Prawdę mówiąc, on też chciał powiedzieć coś innego, ale w jej obecności tracił całą pewność siebie.

- Umówiłeś się z Melissą. Ona będzie oczekiwać, że najpierw odwiedziecie mnie.

- Odwiozę ją, a potem wrócę z tobą po twój samochód.

- Jeśli Melissa da się na to nabrać.

Wrócili do stolika oddzielnie, najpierw Tess, a Cole wkrótce po niej, by nie dać paniom okazji do długiej rozmowy. Potem Tess wyszła.

Ogarnął go strach, że nie wróci. Melissa usiadła na jej miejscu, żeby mieć lepszy dostęp do jego uda. Zadawała coraz bardziej niedyskretne pytania. Cole zżymał się ze złości. Melissa znów zaczęła pieścić jego uda. Skąd Tess ją wystraszyła? I po co? Na jego liście żadne drapieżne seksbomby nie figurowały.

- Niedobrze, moi kochani - powiedziała Tess, wracając do stolika.

Miała na tyle ponurą minę, że widać było, że stało się coś niedobrego.

- O, Tess, myślałam, że już pojechałaś - powiedziała Melissa z ledwie ukrywanym niezadowoleniem,

Jeszcze raz odsunął jej rękę.

- Samochód mi nie zapala. Podobno upał szkodzi akumulatorowi tak samo jak mróz. Myślę, że muszę kupić nowy.

Cole spojrzał, czy Melissa daje się na to nabrać.

- Wezwałaś kogoś do holowania? - spytała, wpijając się

w udo Cole'a. Miał to być dla niego sygnał: niech się tym zajmą odpowiedni fachowcy.

- Tess akurat wczoraj przypomniała sobie, że zapomniała odnowić abonament. - Wtrącił się szybko, nie bardzo wierząc w zdolności Tess do łgarstwa.

Oczywiście udała jej się zagrywka ze smokiem na przyjęcie u dziadka, ale w tym celu nie musiała kłamać.

- Chyba możemy cię odwieźć. - Melissa zagrała rolę królowej, która czyni wieśniaczkę łaskę.

Cole'owi nie podobało się jej zachowanie i protekcyjny ton. Jak ona może być tak niegrzeczna?

- Najpierw odwieżę cię, Melisso, a potem podjadę zobaczyć, czy potrafisz uruchomić samochód - powiedział zdecydowanie. Teraz wynikł problem, która z nich pojedzie w przedziale narzędziowym półciężarówki, z tyłu, za siedzeniami.

Rozwiązał to w ten sposób, że poprosił, by Tess prowadziła samochód, sam zaś usiadł z tyłu, poza zasięgiem Melissy. Krótko poinstruował Tess, podczas gdy Melissa siedziała wścicka na miejscu dla pasażera. Tess nie tylko prowadziła pikap tak dobrze, jakby był jej własnością, ale również ugłaskała Melissę.

Plan Cole'a powiódł się w zupełności poza tym, że Melissa koniecznie chciała, by odprowadził ją do drzwi wewnątrz ogrodzonego terenu. W końcu się od niej uwolnił i odetchnął z ulgą.

Wrócili z Tess na parking koło restauracji. Tess wsiadła do swojego samochodu i odjechała bez słowa. Cole jechał za nią do jej domu i odprowadził ją do drzwi.

- Nie musiałeś jechać za mną.

- Chciałem być pewny, że twój samochód jest w porządku. Co w tym dziwnego?

- Nic się w nim nie zepsuło!

- Właściwie to liczyłem trochę, że mnie zaprosisz na...

- Jesteś trzeźwy jak nigdy, a moja kanapka nie jest dla ciebie. Możesz wsiąść do samochodu i jechać do domu, czy dokąd tam chcesz. Ja idę spać.

- Chciałem tylko porozmawiać...

- Wiem, że twoja randka w ciemno znów się nie udała. Przepraszam cię, Cole, skąd mogłam wiedzieć, że ona jest taka agresywna? Jest kuzynką Lucindy, spotkałam się z nią tylko parę razy.

- Nigdy nie słyszałaś o dziedziczeniu genów?

- Wcale nie są do siebie podobne. W każdym razie Lucinda ma wiele zalet. Jest bardzo miła, o ile akurat nie wychodzi za męż...

Wetknęła klucz do zamka.

- Tylko pięć minut - błagał.

Chciał wziąć Tess w ramiona, tak mocno, żeby mu się nie wymknęła. A może wciąż jeszcze był podniecony wskutek igraszek Melissy?

- Trzy minuty.

- Dobrze.

W pokoju nie było lampy pod sufitem. Tess zapaliła lampkę stojącą przy kanapce.

- A jeśli chodzi o Zacka... To nie było żadnego nagłego wypadku.

- A to niespodzianka! - odrzekła sucho.

- Spróbuj mnie dobrze zrozumieć! On nie chciał... Bardzo cię przepraszam...

— Po prostu wołał spędzić ten wieczór z kafelkami w swojej łazience.

- Nie, to wszystko przeze mnie. Schowałem zamówienie i potem było za późno, by kogoś tam posłać. Ta pani naciskała, żeby sprawę załatwić dzisiaj. Zagraliśmy w orła i reszkę, żeby ustalić, który z nas to zrobi. Zack przegrał, ponieważ podsunąłem mu monetę z dwiema reszkami. Miałem taką z dawnych czasów.

- Dlaczego zepsułeś nam randkę?

- Bo znam Zacka.

- Nie kręć, Cole. Zack nie jest złym wilkiem, a jeśli idzie o mnie, to już od dawna umiem się sama obronić.

- Zack pozostał taki, jakim go znałaś. Nie chciałem, żeby ci zrobił jakąś przykrość.

- Bo oczywiście to nie było przykrością, że zostałam wystawiona do wiatru, nie mówiąc już o tym, że mnie wplątałeś w głupią sytuację.

- Chciałem dobrze. - Uśmiechnął się.

- Rzeczywiście, godne podziwu.

Tess zachowywała się teraz tak, jakby nadał była jego korepetytorką.

- Miałem mnóstwo kłopotów...

- Cole, jestem już dorosła. Radzę sobie całkiem niezłe. Dawniej też sobie radziłam, gdy obaj Baileyowie dokuczali mi na każdym kroku!

- Jeżeli się zainteresujesz Zackiem, to potem tego pożądajesz. Na pewno nie wystarczy mu miłe sam na sam z tobą czy z inną dziewczyną.

- Czy ty czasem się nie wtrącasz w nie swoje sprawy? Umówiłam się na obiad. Zack i ty chodziliście praktycznie

ze wszystkim dziewczynami w szkole,.. ze wszystkimi ładnymi.

- Wcale nie ze wszystkimi - zaprzeczył gwałtownie.

- No, a ty byłeś chyba nie mniej, nazwijmy to, aktywny niż Zack. A co się stało, że teraz jest inaczej?

Co miał jej powiedzieć? Jak Tess przyjmie wiadomość, że chodzi o zabezpieczenie jego udziałów w firmie. Czy uwierzy, jeśli jej powie o matce? A może uzna, że jest po prostu chciwy? Postawiła go w trudnej sytuacji, ale bardzo byłaby zaskoczona, gdyby dowiedziała się, jak jest naprawdę. Albo by się wściekła, że jej wcześniej tego nie powiedział, albo by nie uwierzyła.

Zbliżył się i oparł ręce na jej ramionach. Pocałował ją. Jej usta miały tak cudowny smak, że marzył, by ją całować do rana.

- O co chodzi? - spytała, z trudem oddychając.

Odpowiedział bardzo szczerze.

- Żebyś przestała mówić!

- Minęły trzy minuty!

Popchnęła go tak, że o mało nie stracił równowagi.

Wyszedł potulnie. Nie było w gruncie rzeczy tak źle. Zack układał kafelki, a on pocałował Tess.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lista dziewczyn była pokreślona. W ciągu następnego miesiąca po randce z Melissą Tess umawiała Cole'a z jedną dziewczyną w tygodniu, i robiła to bardzo niechętnie.

Właściwie wszelkie trudności znikły, bo wiadomość o poszukiwaniu osoby pod każdym względem doskonałej rozeszła się wśród jej znajomych i wszystkie samotne dziewczyny chciały koniecznie poznać Cole'a.

Poprzedniego wieczoru umówił się z Brandy, bardzo miłą, rudowłosą. Oczywiście zaraz potem zadzwonił do Tess. Brandy kroić mięso na malusieńkie kawałki i bardzo wolno jadła. Śmiała się w kinie w nieodpowiednich miejscach. Oczywiście, była milutka, ale wygląd to nie wszystko.

A czy on w ogóle miał pojęcie, że Tess przeżywa te wszystkie jego randki w ciemno? Przypominało to trochę sytuację w szkole. Wtedy też obserwowała, jak Cole ugania się za dziewczętami, a przecież tak naprawdę to on był stworzony dla niej.

Zack zadzwonił tylko raz, chciał ją zaprosić na wyścigi motocyklowe, ale Tess miała w tym czasie zajęcia. Był podobny do Cole'a, głos miał prawie taki sam, ale jej serce czuło różnicę. Nie rozpaczała, że więcej nie zadzwonił.

Popełniła wielki błąd, że zgodziła się pomagać Cole'owi i nie *ustaliła*, jak długo ma być swatką. Zapłaciła już i tak

nie mało za przegraną w bilard, i należało na tym zakończyć. Nie była w stanie skoncentrować się w pracy, a i jej kontakty towarzyskie ucierpiały, bo zajmowała się jednym z tych nieznośnych Baileyów. Najwyższy czas postawić ultimatum. Niedziela po południu wydała się jej bardzo odpowiednia, by zakończyć sprawę.

Pojechała do niego do domu, powtarzając sobie w duchu, co mu powie, i wyobrażając sobie, jakich argumentów on użyje w odpowiedzi. Nigdy jeszcze nie była u Cole'a w domu, ale miała mapę Detroit i wiedziała, jak się jedzie na Livonię. Jechać było łatwiej, niż zapukać do jego drzwi.

Jeśli adres w książce telefonicznej był dobry, to Cole mieszkał przy wysadzonej drzewami ulicy, na której ludzie w niedzielę po południu myli samochody. Wrota garażu były zamknięte.

To był zły pomysł. Nie miała ochoty z nim rozmawiać, chciała go tylko zobaczyć.

Przycisnęła dzwonek, ale nic nie usłyszała przez drzwi pomalowane na kolor jaskrawoczerwony. Czyżby firma budowlana była tak zapracowana, że nie założyła właścicielom porządnego dzwonka? Zapukała najpierw lekko, potem głośniej. Przecież nie odejdzie z kwitkiem, przecież musi powiedzieć Cole'owi...

- Wejść! - krzyknął głos z daleka.

Czuła się jak intruz, ale chwyciła za klamkę i stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte.

Weszła do środka z obawą, czy to na pewno właściwy adres.

Znowu przytłumiony głos zawołał:

- Już idę!

Pokój urządzony był wyraźnie po męsku. Mebli niewiele: przesadnie wielka czarna kanapa ze skóry, na wprost telewizora, stolik do kawy zawalony gazetami, parę stołków, leżanka pokryta żółtym tweedem, tak zniszczona, że chyba trudno by ją było oddać ubogim.

Nie widać tu było nic, co by mogłoby skusić złodzieja. I dobrze. Bo gdyby Cole złapał włamywacza, to pewnie zaraz by się umawiał z jego siostrą na randkę.

Zaczęła tracić cierpliwość. Nie widziała Cole'a przez miesiąc, a to tylko utrudni rozmowę. Pomyślała, że może jednak lepiej się wycofać, ale to znaczyłoby, że on dalej ma prawo spodziewać się następnych aranżowanych przez nią randek.

Spoza zamkniętych drzwi pomieszczenia, które było chyba łazienką, nie dochodziły żadne odgłosy. Teraz albo nigdy. Zbliżyła się do drzwi.

- Przyszłam się z tobą rozmówić!-krzyknęła.

Drzwi uchyliły się.

- Czy pozwolisz mi się najpierw ubrać?

- O, Cole, czy to ty? - Odsunęła się od drzwi.

- Nie, to Zack. Cole'a jeszcze nie ma. Czy mogę być ja?

Niewłaściwy Bailey wyszedł w ręczniku owiniętym dookoła bioder; Był mokry, woda ciekła mu z włosów na szerokie opalone barki. Z piersi spływała strużkami, wsiąkając w biały frotowy ręcznik.

Cofnęła się i zderzyła z drugim wysokim, barczystym Baileyem.

- Nie, nie możesz - odpowiedział bratu Cole.

Tess raz jeszcze rzuciła okiem na wspaniałe ciało Zacka, zanim Cole zdążył wyprowadzić ją na dwór, do swojego samochodu, który stał przy krawężniku.

- A skąd wiesz, czy ja nie przyjechałam do Zacka? - spytała, rozgniewaną jego szybką akcją. - Nie jestem twoją dziewczyną!

- A czy jesteś dziewczyną Zacka? .

- Nie, ale..

- Czy masz zwyczaj wpadać do gołych mężczyzn? Brać z nimi prysznic?

- Myślałam, że to ty jesteś w łazience.

Zorientowała się, że palnęła głupstwo, i poczuła, że się czerwieni. Na razie nie zauważył.

- Chodź do samochodu.

- Nie.

To, co miała do powiedzenia, nie wymagało słodkiego sam na sam wewnątrz samochodu, ale on objął ją w pasie i wsadził do auta.

- Co robisz!

- Nie masz się o co obrażać.

- Ja się obrażam?! - krzyknęła, ale on przeszedł na drugą stronę samochodu i wsunął się za kierownicę.

- To nie twoja sprawa, czy wejdę pod prysznic z Zackiem, czy nie! Nie miałeś prawa wciągać mnie do samochodu! Mam tego dość!

- Nigdzie cię nie wciągałem!

- Coś takiego!

- Nie jesteś w typie Zacka!

- Mówisz jak wytrawny swat.

Była tak wściekła, że mogła zrobić coś rozpaczliwego, mogła na przykład z powrotem wejść do nich do domu i...

- Nie zachowałem się gorzej niż ty - brzmiało to jak oskarżenie.

- Co ty gadasz? Ja umawiam cię z pięknymi dziewczynami, eleganckimi, bardzo przyzwoitymi... W szkole nie byłeś taki wybredny.

- Tak było kiedyś. Teraz jest inaczej. Po co przyjechałaś?

- A jakbym powiedziała, że chciałam się po prostu zobaczyć z Zackiem...

- Wydaje mi się, że zobaczyłaś go...

- Przyczyna, dla której tu przyszedłam, jest następująca - powiedziała głosem, który wydawał jej się chłodny..- Musimy ustalić granice moich usług w sprawie randek.

- Ale w naszym zakładzie nie było o tym mowy.

- Cole, znajdowanie dla ciebie dziewczyn jest ciężką, dodatkową pracą. Czy ty wiesz, ile ja godzin spędzam przy telefonie? Bez względu na porę dnia i nocy.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że to dla ciebie taki kłopot... - Starał się okazać skruchę, ale nie dała się przebłagać.

- Nie mówiąc już o moim własnym życiu towarzyskim, które po prostu przestało istnieć. Nie mam zamiaru zajmować się tym w nieskończoność. Jeszcze miesiąc, Cole. Trzydzieści dni, licząc od dzisiaj.

- Po Święcie Pracy będę miał więcej czasu. Zostawiasz mnie, kiedy cię najbardziej potrzebuję.

- Jedna randka na tydzień, i to tylko dlatego, że znam jeszcze kilka pań, które może będą chciały cię poznać. Po tylu spotkaniach, z których nic nie wyniknęło, byłoby cudem, gdyby jakaś dziewczyna miała na ciebie ochotę.

- A może dwa miesiące? - nalegał.

- Mnie wystarczą dwa tygodnie.

- Dobrze, niech będzie miesiąc - powiedział szybko. -

Jeszcze jedno. Uważam, że nie powinnaś chodzić z moim bratem. On naprawdę nie jest dla ciebie.

--A to czemu?

- Chce się tylko zabawić.

- Ja też. Zanim kazałeś mi organizować twoje życie osobiste, dużo czasu spędzałam na zabawach.

- Ale nie na zabawach w stylu Zacka..

- Czy chcesz mi dyktować, z kim mam chodzić?

Jak to możliwe, że zakochała się w takim facecie? No nie, nic podobnego! Coś do niego czuje, ale to przecież nie miłość. Żadnych ciepłych, radosnych uczuć, wpatrywania się w jego zdjęcie. Po prostu doprowadza ją do wściekłości.

- Słowo ci daję, Zack nie jest dla ciebie - upierał się.

- Czy bronisz jego czy mnie?

- Ciebie! Mój brat daje sobie radę sam.

- A ja nie?

- Na ogół tak - przyznał z niechęcią.— Ale bardzo cię proszę, posłuchaj mnie...

- Mniejsza z tym. Nie spotykam się z Zackiem i mam lepsze zajęcia niż randki z Baileyami. Ale przestań być tak wymagający. Nie dajesz żadnej szansy tym swoim dziewczynom. To bez sensu...

- Od dziś niech nawet jedzą palcami, nie mam nic przeciw temu.

- Przestań!

Cole spoglądał za nią, gdy odjeżdżała. Szczerze mówiąc, nieraz miał wielką ochotę zadzwonić do którejś z tych dziewczyn, umówić się ponownie. Z natury nie był wybredny, ale tu jednak chodziło o żonę. Dotychczas było to jak podczas pierwszej rozmowy w sprawie pracy. Nie spotkał jeszcze

takiej, którą by polubił tak, jak Tess, nie mówiąc już o takiej, którą by mógł sobie wyobrazić jako żonę.

Wszedł do domu. Zack był już w spodniach i czerwonej koszulce polo.

- To co, nowa wspaniała dziewczyna? - spytał Gole, patrząc na mokre ślady na dywanie, które przypomniały mu scenę przed chwilą.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że wziąłem twoją koszulkę. Nie mam żadnej czystej. - Zack wtykał do kieszeni klucze i inne śmieci.

- Owszem, gniewam się, ale gadaj.

- Dziwię się, że Tess tu przyszła. Często się z nią ostatnio widzujesz?

- Nie.

- A może chciałbyś?

- Nie.

- To czemu mnie pogoniłeś? Taka przyjemna mała... - powiedział Zack.

- Myślałem, że dokądś się razem wybieracie.

- O co naprawdę ci chodzi? - Zack usiadł obok Cole'a.

- Cała ta historia z małżeństwem.

- I na mnie przyjdzie kolej. Tymczasem masz pod nosem coś tak fajnego i ciepłutkiego. Jeżeli Tess cię nie interesuje, to ja wezmę ją pod uwagę, kiedy Marsh przykręci śrubę.

- Mówisz poważnie?

- Nie. Patrzyła na mnie, ale mnie nie widziała. Kobieta, która nie zwraca na mnie uwagi, chociaż wyszedłem do niej w samym ręczniku, musi być zajęta kimś innym.

- Na pewno nie mną! Gdyby tak było, to dlaczego traciłaby czas na szukanie innych kobiet?

- Nie bądź głupi! Wybiera ci dziewczyny, ale wszystkie są do niczego.

- No, niektóre są niezłe.

- Ale ciągle jesteś mi coś winien za tę historię z kafelkami - powiedział Zack. - Aż mi się nie chce wierzyć, że ty bawiłeś się z dwiema dziewczynami, a pani Des Plaines patrzyła, czy dobrze układam glazurę.

- Przecież przegrałeś...

- Serio... - Zack zawsze używał tego słowa, kiedy miał powiedzieć coś, czego Cole nie lubił. - Posłuchaj starszego brata...

- Jesteś starszy o siedem minut, ale to nie znaczy, że mądrzejszy.

- Nie chcesz, żebym się spotykał z Tess. Rozumiem. To czemu sam się z nią nie widzisz?

- Nie chcę zepsuć najlepszej przyjaźni. Kiedy się dowie, dlaczego mi nagle zaczęło zależeć na żeniacze...

- Jak to, nie powiedziałeś jej?

- Nie musi tego wiedzieć.

- Nic nie rozumiem. Myślę, że wybrałeś niewłaściwą drogę.

- Zack klepnął się po tylnej kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma przy sobie pieniądze, i zadzwonił kluczykami do samochodu.

- To nie twoja rzecz - warknął Cole i pomyślał, że właściwie nie wiadomo, czemu mieszka razem z bratem.

Rozległo się pukanie do drzwi i dlatego nie powiedział Zackowi, żeby się zajął swoimi sprawami.

- Trzeba zreperować dzwonek - powiedział Zack. - Gdybym nie zakręcił wody, tobym nie usłyszał Tess.

Cole poszedł do drzwi wejściowych, a Zack przez kuchnię udał się do garażu.

- Cześć. - Tess wpadła tu bez tchu, jakby szybko biegła.
- Wróciłaś, żeby się zobaczyć ze mną czy z Zackiem?
- Oczywiście, że z tobą. Mogę wejść?
- Proszę.

Weszła do pokoju, a on teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, jaki panuje tu bałagan.

- Wiesz, przyszedł mi do głowy dobry pomysł, - Słowa płynęły gładko, jakby je sobie wiele razy powtarzała.

- Darujesz mi dwa miesiące?

- Nie, nic podobnego! Ale już wiem, co powinieneś robić, żebyś się mógł sam umówić, żeby nie musiała decydować, która jest miła...

- Jesteś zgrzana. Może ci coś podać?

- Nie, dziękuję. Myślałam o tym, co mam do zrobienia w przyszłym tygodniu.

Cole pomyślał sobie, że to i tak lepsze niż myślenie o tym, jak wyglądał Zack po wyjściu spod prysznic.

- Potem mi przyszło do głowy - ciągnęła dalej - że w przyszłą niedzielę po południu jestem zaproszona na przyjęcie, na które przynosi się różne prezenty dla dziecka w przeddzień jego urodzin. Może wybierzesz się ze mną?

- Prezenty dla nienarodzonego dziecka?

Niech trochę pocierpi, pomyślała. To będzie rewanż za te wszystkie randki.

- Przychodzą tam nie tylko pary. To okazja, by poznać przyzwoite panie. Tego rodzaju imprezy wprawiają dziewczyny w ekscytację.

- I gruchają słodko nad tymi różnymi dziecinnymi ciuchami.

- Możesz tego nie uważać za jakąś specjalną zabawę, ale jest to wielka okazja.

- Nie. Nie pójdę na żadną zbiórkę rzeczy dla dzieci - jęknął głucho.

- Czy ty naprawdę chcesz się ożenić?

Zabrzmiało to tak poważnie, że aż zachciało mu się śmiać, ale powstrzymała go perspektywa wiszącej mu nad głową strasznej imprezy.

- Tak, chcę! - przyznał niechętnie.

- To powinienes wziąć moją propozycję pod uwagę. Zastanów się...

- Nie idę. - Trzeba być stanowczym.

- A byłeś już kiedyś na czymś takim?

- Nie, nigdy! .

- To po prostu jest przyjęcie, je się lody i przynosi prezenty. Ja coś kupię i wpiszę nasze nazwiska.

- A te różne panie będą tam wykrzykiwały achy i ochy na temat produkcji firmy dziadka.

- To bardzo możliwe.

- Tym bardziej nie chcę na to iść.

- Daj spokój! Przyjedziesz po mnie, czy spotkamy się na miejscu?

- Przyjadę po ciebie.

No właśnie, i oto kiedy już myślał, że zna Tess, jej się udało zrobić z nim, co chciała. Nie będzie dalej organizowała mu spotkań. Nie spodobała mu się żadna z dziewczyn, z którymi go umówiła, więc zamierzała go spisać na straty jak niespłacony dług.

Nie wiedziała tylko, jak bardzo podobała mu się, kiedy była zła. Podobało mu się w niej wszystko.

- A więc dobrze, jesteśmy umówieni - powiedziała i zaczerwieniła się. - To nie znaczy...

- Nie, to nie będzie randka... - zgodził się z przesadną powagą.

Znów się zrobiła czerwona, a on poczuł się lepiej. Trochę lepiej. Dobrze i to.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- A gdzie są mężczyźni? - szepnął Cole, obejmując mocno Tess, żeby się z powrotem nie wślizgnęła do domu, z którego właśnie ją wyciągnął.

- Przecież poznałeś męża Patty. - Zrobiła gest w kierunku salonu, do którego po drugiej stronie szklanych drzwi schodzili się goście.

- No, ale on tu mieszka!

- Tak, jest jeszcze wcześniej. Chyba nie ma nawet połowy zaproszonych.

- Pewnie się pogubili wśród tych bunkrów z cegły. Ten, kto budował to osiedle, odpowie za to przed Najwyższym Budowniczym w niebie,

- To jest dom dla młodych małżeństw. Nie bądź takim snobem! Patty i Gil pobrali się rok temu!

Speszył się, bo wyszło, że ocenia ludzi według tego, jak i gdzie mieszkają.

- Nie jestem snobem! Mówię o architekcie, nie o mieszkańcach osiedla. To jest moja opinia zawodowa. Chodźmy.

- Dopiero co przyszliśmy.

- Nabrałaś mnie.

- Nie bądź taki niecierpliwy. Wiem, że przyjdzie jeszcze co najmniej kilkanaście osób.

- Dobrze, jeszcze trochę poczekam - zgodził się z ociąganiem.

- W szkole nigdy mi nie przyszło do głowy, że będę kiedyś musiała zaciągnąć pana Casanovę na zbiórkę prezentów dla dziecka, by poznał jakieś miłe panie. Zawsze myślałam, że po tylu latach będziesz przynajmniej dwa lub trzy razy żonaty. No dobrze, trochę przesadzam - ciągnęła dalej - ale czy masz pojęcie, jak mi jest przykro, kiedy muszę odpowiadać na pytania tych zawiedzionych? Powtarzam im wszystkim, żeby do ciebie same dzwoniły, jeżeli chcą się znowu umówić. Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek. Swaty to przeżytek!

Puścił jej ramiona, chociaż było mu przyjemnie obejmować Tess. Co miał powiedzieć na swoją obronę, żeby jej znowu nie rozżłościć? Uśmiechnął się i milczał.

- Myślę, że jesteś taki wybredny, bo jeszcze się nie zdecydowałeś na małżeństwo - oskarżyła go, a w niebieskich oczach zapłonęły ogniki.

- Wcale nie.

- No to dobrze się tu rozejrzyj, bo już nic innego nie potrafię ci zorganizować.

Wyrwała się z powrotem do gości. Policzki miała prawie tak czerwone jak cegły na patio, na którym go zostawiła. Co się z nim właściwie dzieje? Nie zależy mu na poznawaniu kobiet ani tu, ani nigdzie. Tess się złościła, a on czuł się paskudnie.

Przyszło więcej osób, ale cała ta impreza dalej była czymś strasznym. Próbował rozmawiać z Dilbertem - czy może Gilbertem - ale on jako mąż Patty musiał pomagać w kuchni, napełniał salaterki, podawał maleńkie kanapki, które bardziej

wyglądały na dekoracje, i częstował różowymi cukierkami miętowymi w kształcie serca.

Cole starał się zrozumieć, o co tutaj chodzi. Nie dawano mu spokoju. Każda z pań zamieniła z nim kilka słów, ale nie Tess. Wodził za nią oczami, lecz ona się do niego nie odzywała.

Przyszło jeszcze para facetów. W kuchni zrobiło się pełno, bo każdy z nich chciał trzymać się jak najdalej od tych damskich uroczystości. Patty zasiadła, by otworzyć prezenty. Była tak gruba, że to mogło nastęrczać pewne trudności. Może po to zaproszono mężczyzn. Żeby ją podnieśli z fotela.

Tess sprawowała bardzo ważną funkcję. Miała kłęczyć obok Patty i wręczać jej paczki. Włosy rozsypały jej się na ramiona.

Znowu zadzwonił dzwonek do drzwi i Dilbert - czy może Gilbert - pobiegł otworzyć, dzięki czemu nie musiał okazać zachwyty, gdy jego żona wyjęła z paczki kolejny podgrzewacz do butelek z tańczącymi żyrafami.

Jakaś para weszła w sposób godny głów koronowanych. Cole był zadowolony, że pojawił się jeszcze jeden mężczyzna, dopóki go nie rozpoznał. Był to Ron Howser, zły duch z czasów, kiedy Cole grał w piłkę nożną, facet, który potrafił podłożyć nogę komuś z własnej drużyny. Teraz Ron stał w drzwiach i uśmiechał się.

Na widok blondynki, która przyszła z Ronem, Cole zniechęcił się. Miała na sobie rodzaj czarnego pulowera bez ramiączek, zrobiony z minimalnej ilości materiału.

Rozpakowywanie prezentów trwało nadal. Trzeba będzie opowiedzieć matce, jakim powodzeniem cieszyły się produkty ich firmy. Patty dostała już trzy.

Ron dopadł Cole'a, mimo że ten ukrył się w kuchennym korytarzu. Większość mężczyzn zgromadziła się na patio.

- Bailey! - Rąbnął go w ramię. - Co tu robisz, chłopie? Nie odpowiedział, ale też odpowiedź nie była potrzebna.

- Pewnie to samo co ja, ty draniu. Na takich zbiórkach można podrywać panie. - Ron uśmiechnął się szeroko. Wyglądało na to, że jest w doskonałej formie, dobrze zbudowany, choć może policzki miał zbyt tłuste, a blond włosy trochę przeredzone.

- Kim jest ta ślicznotka obok Patty? - spytał po krótkiej przerwie.

- Ona jest ze mną - odpowiedział Cole.

- Na pewno, tak samo jak Candy jest ze mną. Candy jest moją kuzynką.

- O, masz randkę z kuzynką? - To było ciekawe, nadzwyczaj intrygujące.

- Nie, tylko mnie prosiła, żebym ją tu przywiózł. - Zniżył głos do szeptu. - Jeśli chcesz poderwać jakąś śliczną panienkę - to tutaj.

Są ludzie, którzy się nigdy nie zmieniają. Cole pomyślał, jak by to było przyjemnie zamknąć uśmiechniętą buzię Rona paczką pieluszek, którą właśnie otworzyła Patty.

Patty skończyła z prezentami i jakoś udało jej się wstać z fotela.

- Teraz będą kroić tort. - Tess przysunęła się do Cole'a, ciągnąc za sobą kuzynkę Rona..- To jest Candy Allen. Jesteś z nią umówiony na przyszłą sobotę.

I co z postanowieniem, że sam ma się umawiać? Czy to nie Tess zaciągnęła go tutaj?

Howser aż się ślinił, wyciągając rękę do Tess.

- Mam na imię Ron. Wyjdiesz za mnie?

Roześmiała się.

Niech to cholera, Tess się śmieje. Gorzej, bo zgodziła się, by ją ten facet odprowadził, podczas gdy Cole omawiał z Candy termin randki.

Chciał wypatrzeć, dokąd tamci poszli, ale Candy oświadczyła, że koniecznie musi dostać kawałek tortu. Dopilnowała, by wziął porcje dla nich obojga, a następnie plastikowym widelczykiem dziobała małe kawałki. Przyglądał się, jak ona je to ciastko, i poczuł lekkie podniecenie.

- Straciłaś większą część przyjęcia - powiedziała.

- Byłam na wielu takich uroczystościach. Zawsze otwierają bardzo pomału jeden prezent, potem następny, i tak dalej. Nie ma w tym absolutnie nic ciekawego. .

Tess gdzieś zniknęła, co nie było wcale łatwe w maleńkim dwupokojowym domku. Candy zostawiła Cole'a i poszła szukać toalety. Paru mężczyzn, nawet ten Dilbert czy Gilbert, grało na dworze we frisbee. Na niebie gromadziły się deszczowe chmury, co mogło grozić przerwaniem gry. A może o to chodziło - mokre ubrania i zabłocone buty musiały doprowadzić do zakończenia zabawy. Zaczęło kropić, ale nikt nie kwapił się do powrotu do środka. Ron gdzieś zniknął.

Można go było szukać jeszcze w piwnicy. Było to tylko jedno pomieszczenie o betonowych ścianach, z piecem, boilerem i porzrzuconymi pudłami do przeprowadzki. Pośrodku znajdował się stół bilardowy. Tess i Ron grali. Niebieska spódniczka, którą tak bardzo lubił, opinała jej biodra, odsłaniając część uda. Poczul, że nogi się pod nim uginają.

- Gramy z Tess o randkę - oświadczył z dumą Ron. - Jeżeli wygra, to lecimy do Chez Henri. Uważa, że będą mi smakowały żabie udka.

- Nie bujasz? Trochę ci pomogę, Tess. - Stanął za nią.

— Idź stąd, Cole. - Jej głos zabrzmiał tak wrogo jak nigdy.

Przysunął się bliżej, wiedząc, że w ten sposób Tess nie potrafi skupić się na strzale i przegra. Czuł jej napięcie. Chciał przycisnąć ją mocniej, ale nagle odwróciła się i z całej siły wbiła mu szpilkę pantofla w nogę. Wrzasnął i odsunął się.

Howser roześmiał się. Tess oddała strzał, rozległ się głuchy stukot bili w łuzie. Wygrała obiad z Ronem w Chez Henri. Cole wołałby na to nie patrzeć.

- Wspaniale, Ron - powiedział. Ledwie powstrzymał się od tego, by zdjąć but i rozmasować stopę. - Ja mam randkę z twoją kuzynką, więc możemy umówić się razem.

- Co to, to nie. Nie umówimy się razem - zaprotestowała Tess.

Trzymała kij jak miecz samuraja. Przez chwilę nie było jasne, kto ma być ofiarą.

Ron zrobił zdziwioną minę. Nie miał pojęcia, czemu mała słodka Tess zmieniła się nagle w gladiatora z kijem w ręku.

- Dobrze. - Cole cofnął się arę kroków. - Nie umówimy się razem.

Tess chciała już jechać do domu. Miała ochotę włożyć pizamę, obejrzeć „Narzeczoną Frankensteina”i zastanowić się, dlaczego właściwie zgodziła się na jeszcze jeden głupi zakład.

Zanim pojawił się Cole, miała zamiar przegrać. Mogła chybić, pozwolić Ronowi wygrać i w ten sposób wymigać się od pójścia z nim do Chez Henri. Na pewno by nie rozpaczał. Henri słynał z tego, że strasznie zdiera za jedzenie, bardziej niż inne restauracje w Detroit. W łatwy sposób mogła wykręcić się od randki z Ronem.

Ron nie pamiętał jej ze szkoły, a ona nie widziała powodu, żeby mu się przypomnieć.

Ale gdy wtrącił się Cole, wpakowała s i ę coś, czego nie chciała i z czego nie mogła się wymigać. Kiedy Cole specjalnie starał się, aby Tess chybiła, musiała wygrać, nie miała wyboru. Doprawdy, umówić się w czwórkę! Zaczęła się rozglądać za kimś, kto by ją odwiózł do domu. Niestety, nie widać było, żeby ktoś się zbierał do wyjścia.

- Jesteś gotowa? - spytał Cole.

Powinna była się zorientować, że kręcił się koło drzwi. Candy już wyszła z Ronem, ponieważ była jeszcze z kimś umówiona tego dnia.

- Całkiem gotowa - bąknęła pod nosem.

Łało. Zapropozował, że podjedzie bliżej, ponieważ musiał zaparkować za domem, ale Tess nie chciała żadnej dodatkowej uprzejmości.

- To tylko kawałek - powiedziała, wychodząc z domu i starając się nie zwracać uwagi na strumienie deszczu lejące się na głowę.

- To włóż przynajmniej moją marynarkę.

Zdjął swój lekki granatowy blezer i owinał jej ramiona. Chciała to zrzucić, ale w progu stała Patty, by ich pożegnać. Tess pomachała jej ręką.

Cole stanął za nią, gdy wdrapywała się na wysokie siedzenie pikapa. Tym razem nie pomógł jej wsiąść. Gdyby tylko pomyślał o tym, pewnie zaczęłaby wrzeszczeć. Zawsze miała słabość do Cole'a, a kiedy sobie to uświadomiła, było już za późno, żeby coś zmienić. Była zaślepiona... nie, to nieprawda. Zakochała się bez pamięci w tym chłopaku, który szukał miłości wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba.

Candy nie była odpowiednia dziewczyna! Ale jaka była dla niego odpowiednia?

Cole usiadł koło niej. Mokra koszula przykleiła mu się do piersi. Niby taki wspaniały, ale ma chyba wodę w mózgu, jeśli nie zauważył miłości, która była tuż obok.

- Aż nie chce mi się wierzyć, że wybierasz się gdzieś z Ronem - rzekł po prostu.

- Założyłam się.

- Nie musiałaś wygrać.

- Nie miałam zamiaru, póki nie próbowałeś mi zepsuć strzału.

- Nie ma w tym sensu.

- Co do tego masz rację.

- A co byłoby złego w spotkaniu we czwórkę?

Jechał powoli przez wąskie przedmiejskie uliczki, szyba spływała deszczem, a wycieraczki jeszcze bardziej ją zamazywały.

- Ostatnio się to nie udało.

- Ron nie jest porządnym facetem.

- Chyba masz rację.

- Mówisz o tym całkiem spokojnie.

- Potrafię się pilnować. Co może się stać w Chez Henri?

W każdym razie jest sympatyczny.

- Sympatyczny? - Parsknął pogardliwie. - Po prostu nie chcę, żebyś miała przykrości z jego powodu.

Stało się, miała ochotę odpowiedzieć. Cole nie interesował się nią jako kobietą, ale zarazem uważał, że ona nie potrafi znaleźć kogoś dla siebie, że nie ma tyle zdrowego rozsądku. A może myśli, że skoro on jej nie chce, to już żaden inny fajny chłopak się nią nie zainteresuje?

- Nie przejmuj się mną. - Była rozdrażniona, więc chciała mieć ostatnie słowo.

Jechali w milczeniu, a deszcz walił w dach samochodu i zamazał szybę po jej stronie. Wydało jej się, że niebo płacze. Nie zwracała uwagi na to, którądy jadą. Dla niej mogli tak jechać nawet do Ohio. Kiedy Gole wreszcie zajechał przed jej dom, ściągnęła z pleców jego marynarkę i zaczęła starannie ją składać.

- Nie zdejmuj, idź w niej do domu - powiedział.

- Nie, dziękuję. - Nie chciała, żeby znowu przychodził potem odebrać marynarkę.

- Dzięki, że zabrałaś mnie na tę imprezę.

Nie spodziewała się, że jej podziękuje.

- Byłoby bardzo fajnie, gdyby nie Ron - dodał.

- Ponieważ go nie lubisz...

- Nie ufam mu. - Wyłączył silnik. - A jak będzie chciał coś zrobić?

- Na przykład co?

Rozsądek nakazywał jej pójść do domu, ale z drugiej strony chciała przedłużyć tych kilka chwil z Cole'em, chociaż dla niego nie miało to znaczenia.

- Na przykład to. - Pochylił się, objął i pocałował ją. Ustami dotykał jej ust bardzo lekko, ale Tess poczuła w całym ciele mrowienie. A może był to prąd elektryczny? - Albo to? — szepnął. Jego usta zamknęły się na jej ustach. To był prawdziwy pocałunek. Rozchyliła wargi, nie było to świadome, lecz jakże rozkosznie się poczuła! Zakreśliło jej się w głowie. - A co zrobisz, jak Ron tak cię pocałuje? - spytał cicho.

- T o .

I pocałowała go, najbardziej namiętnie jak umiała.

A potem już nie miało znaczenia, kto kogo całuje. Przebierał palcami wśród wilgotnych kosmyków jej włosów. Trzymał ją przy tym mocno i znowu całował. Delikatnie pieścił ustami jej powieki, dotykał twarzą policzków i wyszukiwał wrażliwe miejsca poniżej uszu. Poddawała się temu, czekała na te pocałunki od dawna. Radosna, bliska omdlenia, znalazła się w krainie marzeń.

Gdyby to jeszcze znaczyło cokolwiek dla Cole'a, ale nie. Rzeczywistość wtargnęła i sprowadziła ją na ziemię i było to trochę tak, jakby wspaniałe brzmiały fortepian wypadł nagle z okna wielkiego wieżowca.

Cole wysiadł z samochodu i ruszył w jej stronę. Otworzyła drzwi i wpadła w jego ramiona. Pobiegli do drzwi jej domu, deszcz wciąż padał.

- Przemokłaś. - Cole ją objął. Stanęli pod daszkiem nad drzwiami wejściowymi.

- Ty też. - Z kluczem w ręku wywinęła się z jego ramion. Otworzyła, próbując wślizgnąć się do środka, ale ją zdecydowanie zatrzymał.

- Nie powiedziałaś, co zrobisz z Ronem.

Całował ją, a teraz znowu mówił o tym głupim Ronie! Wyrwała mu się i wpadła do domu.

- To zrobię! - krzyknęła i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, założyła łańcuch i nie słuchała więcej upartego walenia do drzwi, które trwało bardzo długo.

Z czegoś jednak zdała sobie sprawę tego wieczoru. Otóż „Narieczona Frankensteina” nie jest szczególnie rozrywką, gdy się ją ogląda przez łyzy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tess przyglądała się artystycznie ułożonym plasterkom cielęciny na srebrnych półmiskach. Trzy maleńkie kartofelki wyglądały jak kulki lodów, posypane suszoną pietruszką i oblane masłem. Szparagi ustawiono jak żołnierzy na defiladzie - niech Bóg broni, żeby któryś przechylił się na bok. Gdyby ośmieliła się naruszyć to dzieło sztuki, rozgniewany szef kuchni pewnie by ją zaatakował kuchennym nożem. Ale poza tym elegancka francuska restauracja jest miejscem przyjemnym, jeśli się nie jest specjalnie głodnym. Podejrzewała, że ludzie przychodzą tu bardziej podziwiać niż jeść.

- Pieczywo? - spytał Ron. Policzek miał wypchany jedzeniem.

- Proszę.

Przesunęła talerzyk do chleba po obrusie. Może jak się napcha, to przestanie chociaż na chwilę gadać wyłącznie na swój temat. Zdażył już omówić swoje życie od urodzenia do momentu zakupu pierwszego auta sportowego, ze wszystkimi nudnymi szczegółami.

Jeżeli jeszcze raz się założy, grając w bilard, to powinna na czole wytatuować sobie: IDIOTKA. No pewnie, Ron jest dosyć przystojny, ale okropnie powierzchowny. Wiedział wszystko o sprawach, które nikogo nie obchodzą, ale nie

orientował się zupełnie, jak nawiązać porozumienie z kimś drugim.

Najgorsze było to, że Ron nic a nic jej nie obchodził. Słuchała jednym uchem jego gadaniny, ale cały czas myślała o Cole'u. A Cole był facetem, który zupełnie nie nadawał się na randki.

Dziobała swoje danie i doszła do wniosku, że gorzej już być nie może. Ale było. Na salę wszedł bowiem Cole z Candy. No nie...

Powiedziała coś takiego, że Ron przestał mówić i spojrzał na nią.

- Co się stało? - Upuścił widelec, którym starał się zebrać resztki sosu ze swojego talerza.

- Och, nic, ząb mnie rozboleł - powiedziała szybko, bo gdyby zobaczył Cole'a z kuzynką, to na pewno zaprosiłby ich do stolika, który był za mały na dwie osoby, a cóż dopiero na cztery.

- Ciekawe tu mają desery. — Patrzył na kelnera, który podawał przy sąsiednim stoliku. Na szczęście tak go to zajęło, że nie widział Cole'a i Candy, zajmujących miejsca z drugiej strony sali.

- Jestem tak najedzona, że wezmę tylko kawę - powiedziała Tess - ale ty zamów coś za nas oboje. Chyba nie musisz dbać o linię.

Jakże nisko można upaść! Nie tylko schlebia Ronowi, byleby się nie odwrócił, ale jednocześnie sama podgląda Cole'a z dziewczyną. Ciekawe, o czym rozmawiają? Czemu Cole się śmieje? Czy ta Candy jest taka zabawna?

- Najmniejsze filiżanki do kawy, jakie w życiu widziałem .- warknął Ron.

— No właśnie, racja.

Musiała się uśmiechnąć, kiedy grubymi paluchami ścisnęła delikatną filiżaneczkę. Ron jako partner na randce nie był specjalnie interesujący, ale ona też nie. Postanowiła udawać ożywienie i pokazać Cole'owi, że się dobrze bawi. Ron był coraz bardziej niespokojny, ale Tess ciągle popijała kawę, odwołując chwilę, kiedy trzeba będzie wstać i wyjść. Cole musiał wiedzieć, że ona tu jest! Zauważyła, że spojrzął nad kartą menu w jej stronę. Słyszał o Chez Henri na przyjęciu i specjalnie przyszedł do tej restauracji, gdzie mieli być z Ronem. Ale po co?

Nie była już w stanie wypić więcej kawy bez skorzystania z toalety, a to znaczyło przejście obok Cole'a i Candy. Postanowiła przemknąć, gdy kelner podawał im sałatki. Chole-
ra, ten kelner był za szybki! Czyżby nie wiedział, że powinien zażartować, zagadać czy rozśmieszyć gości, by zasłużyć na większy napiwek? Są takie francuskie restauracje, gdzie kelnerzy jeżdżą na wrotkach. Przydałoby się coś takiego, przejechałaby obok Cole'a, a tak było już za późno. Dostrzegł ją. No i oczywiście postanowił podręczyć.

- Tess! Co za niespodzianka! - Uśmiechał się; był to ten złośliwy uśmiech Baileyów.

- Przecież wiedziałeś, że się tu wybieramy z Ronem - zareagowała ostro. - Cześć, Candy, dobrze się bawisz? - Ruszyła do przodu, nie czekając na odpowiedź.

Ron odwiózł ją do domu i próbował bez większego przekonania dostać coś w nagrodę za kosztowną kolację. Zapewne wymagał tego kodeks honorowy w jego otoczeniu, ale przyjął dobroduszenie jej odmowę. Rozstali się sympatycznie. On z wielką szczerością obiecał, że na pewno zadzwoni,

a ona równie szczerze dała mu do zrozumienia, że jej na tym zależy.

Cole nie zadzwonił ani tego wieczoru, ani przez cały następny tydzień i Tess przestała się zajmować organizowaniem dalszych randek. Może doszedł do wniosku, że Candy będzie dobrą żoną?

Tess teraz jeszcze dłużej przebywała w pracy, ciągle miała coś do roboty, przygotowując się do sezonu zimowego, decydującego o powodzeniu wszystkich sklepów. Trudno projektować ekspozycję pizam, sweterków i czapek z motywami Świętego Mikołaja, kiedy za oknem trwa jeszcze lato, upalne i parne. Jeszcze trudniej udawać, że jest dobrze, kiedy serce ściska się z żalu, gdy myśli biegną do Cole'a i innej dziewczynie.

Pewnego dnia do sklepu weszła Candy. Wyglądała wprost fantastycznie.

- Tess, cieszę się, że cię zastałam. Szukam jakiegoś prezentu dla dzieci, ale również chcę ci podziękować. Tyle ci zawdzięczam! Bajeczna randka! Wybieramy się z Cole'em gdzieś znowu w tę sobotę.

- No to świetnie. - Chiński lunch zmienił się w jej żołądku w roztwór kwasu siarkowego. Nawet nie była w stanie się uśmiechnąć.

- Coś mi się zdaje, że on jest mi przeznaczony - westchnęła radośnie Candy. - Jest taki śmieszny, miły i seksowny! Chyba nigdy tak się nie bawiłam! A co najważniejsze, on chyba też myśli o mnie na poważnie. Jesteśmy po prostu dla siebie stworzeni.

Kobiety niezależne nie wybuchają płaczem w miejscu pracy. Również nie wrzeszczą i nie duszą klientek.

- I to wszystko wyszło na jaw po jednej randce? - spytała Tess drewnianym głosem.

Pan Wybredny uległ po jednym wieczorze z Candy? Brzmiało to jeszcze mniej prawdopodobnie niż obietnice wyborcze niektórych polityków.

- No, może trochę przesadzam, ale skoro i tak musi się ożenić...

- Zaraz, zaraz. Musi się ożenić?

Candy zachichotała wesoło.

- Okazuje się, że jego dziadek sprzeda firmę, jeśli wnukowie się nie ożenią z przyzwoitymi dziewczynami. Wprawdzie Cole w ogóle nie ma zamiaru zajmować się tymi rzeczami dla dzieci, ale obaj z bratem zagrali w orła i reszkę o to, kto ma się pierwszy ożenić.

- Powiedział ci to i ty dalej chcesz z nim chodzić? - Tess zakręciło się w głowie z wrażenia, ale przecież nie miała powodu, by nie wierzyć Candy.

- Ściśle mówiąc, nie powiedział mi... Nie znamy się jeszcze na tyle dobrze, rozumiesz...

- Sama do tego doszłaś?

- Nie, wcale nie!

- No to jak?

-- Właściwie nie powinnam o tym mówić, ale tak mnie to poruszyło... Mielśmy cudowną randkę, pomyślałam więc sobie, że pojedę na tę jego budowę. No wiesz, żeby zobaczyć jego wspaniałe mięśnie i...

- Tak, wyobrażam to sobie.

- No i oni mają taką przyczepę, chyba jako biuro. Nigdzie nie widziałam Cole'a, więc podeszłam do drzwi i usłyszałam, że z kimś rozmawia, musiał to być jego brat. Ja mam

trzech braci, oni też tak mówią do siebie, jest to rodzaj tajnego języka...

- Więc mówił coś do Zacka?

- To, co ci powiedziałam. Kłócili się o to, że Cole przegrał w orła i reszkę i musi się ożenić.

- Rzeczywiście coś takiego mówili? I ty tego słuchałaś?

- No wiesz, ich dziadek jest trochę dziwny, ale czy znasz wielu mężczyzn, którzy by się chcieli wcześniej ożenić?

- Nie krytykuję ciebie - powiedziała szybko. - Tylko zdumiało mnie, że dalej lecisz na Cole'a, skoro znasz jego motyw.

- Masz rację, to śmieszne. - Candy wyduła wargi, ale nie należała do tych, które potrafią ukryć każdą myśl, jaka im tylko wpadnie do głowy. - Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak dzisiaj trudno poznać faceta tak przystojnego jak Cole Bailey? Nie mówiąc już o tym, jaki będzie bogaty, jeżeli spełni życzenie dziadka.

Tess miała wrażenie, że ktoś ją nagle ugodził w serce.

Cole siedział w ambulatorium i gapił się markotnie w swój zabandażowany palec. Miał jeszcze dostać zastrzyk w pośladek i mógł już iść.

Ból pulsował w ręce aż do łokcia, ale bardziej niż grożąca mu utrata wskazującego palca lewej ręki przeraziła go własna głupota. Nie należy popadać w zadumę podczas pracy. Zack czekał w poczekalni. Cole nie miał pojęcia, jak mu wytłumaczyć swoją lekkomyślność.

Czarnowłosej pielęgniarce było nawet dobrze w szpitalnym stroju, ale Cole czuł się tak źle, że nie myślał o tym, jak mogłaby wyglądać bez tego przyodziewku.

- Proszę się położyć na brzuchu - powiedziała głosem pełnym otuchy.

Nie cierpiał zastrzyków. Wbiła igłę tak mocno, że na chwilę zapomniał o bolącym palcu.

Zack czekał, aż Cole wyjdzie z gabinetu. Cole był tak wściekły na siebie, że wszelkie uwagi były zbyteczne. Co gorsza, zdawał sobie sprawę z tego, czemu przez cały tydzień był taki roztargniony. Czuł do Tess coś, czego nie rozumiał. Coraz trudniej było mu traktować ją jako dobrą koleżankę. Gdyby nie trzasnęła mu drzwiami przed nosem... Był to sygnał w pełni zrozumiały. Próbował wobec tego zainteresować się Candy, nawet zgodził się na randkę w następną sobotę. Może przez ten wypadek jakoś się wymiga.

— Dali ci coś na znieczulenie? - spytał Zack.

- Mam receptę, ale nie chcę brać tych środków. - Zgniół kartkę i wrzucił do kosza na śmieci, gdy wyszli z budynku.

- Może ci się jeszcze przyda. - Zack wyjął receptę z kosza. - Zatrzymam na wszelki wypadek.

Cole musiał wyglądać okropnie. Brat był wobec niego serdeczny, chociaż Cole zasłużył na kopniaka w tyłek za to, co zrobił. Zack kupił pizzę, a potem razem gapili się na mecz w telewizji. Ale Cole'a nadał bolał zraniony palec i ciągle myślał o Tess. Po meczu Zack poszedł spać, a Cole kompletnie nie mógł zasnąć. Wybrał numer telefonu. Nie zastanawiał się, czy Tess już śpi.

Odebrała telefon. Nie musiał zostawiać wiadomości na sekretarce.

- Co u ciebie...? - zapytał, starając się, by to zabrzmiało swobodnie.

- Jest w pół do dwunastej. Idę spać.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć.

Nie wspomniał, że myślał o tym cały czas podczas meczu, który przed chwilą oglądał.

- Jest już za późno, żebyś teraz przyjeżdżał - odpowiedziała..

- Nie będę długo.

Tak długo, jak mu pozwoli. Może zabandażowany palec i obolały tyłek wzbudzą jej współczucie.

- Nie. - Była bardzo stanowcza. - Widziałam się dziś z Candy.

- Tak?

- Mówi, że się świetnie bawiła na waszej randce. Umówiłeś się z nią jeszcze raz.

- Trochę mnie to tego zmusiła, miała bilety na koncert. Nie mogłem odmówić.

- Ach tak.

Jej odpowiedź wprawiła go w popłoch.

- Naprawdę chcę się z tobą zobaczyć - nalegał.

- Nie ma sensu, żebyś tu przyjeżdżał.

Pomyślał, że to najlepszy pomysł, na jaki wpadł.

- To spotkajmy się gdzie indziej. - Całe jego ciało wołało: nie, nie, nie, ale mimo to tak bardzo chciał ją zobaczyć, że prawie zapomniał, że wszystko go boli. - Jedno małe piwko -кусиł.

- Dobrze, będę w tawernie „U Bucka”.

- O tej porze mogę tam być w ciągu pół godziny.

- Dobrze. - Odłożyła słuchawkę.

Ciągle jeszcze miał na sobie poplamione krwią dzinsy, ale nie chciał tracić ani chwili na przebranie. Było w jej głosie coś takiego, co kazało mu przypuszczać, że nie będzie na

niego czekała, gdyby się spóźnił. Pokuśtykał do samochodu, ciągle nie zdając sobie sprawy, dlaczego tak bardzo pragnie ją zobaczyć.

W czwartek wieczorem knajpa nie była pełna. Paru starych bywalców tkwiło przy barze, lecz tylko jeden stolik zajmowała jakaś para. Tess jeszcze nie było. Zajrzał do sali bilardowej. Wziął dwa piwa i zaniósł je do stolika w rogu.

Nie musiał długo czekać. Drzwi otworzyły się szeroko i do sali wpadł świeży powiew wiatru, a z nim zjawiła się najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Wiatr rozwiały jej włosy, więc nim podeszła do Cole'a, odgarnęła kosmyk, który zasłonił jej twarz.

- Cześć - powiedział.

Nie pozwoliła mu wstać i przysunąć krzesła, chociaż koniecznie chciał coś dla niej zrobić.

- Candy uważa, że jesteście dla siebie stworzeni - powiedziała krótko. - Co ci się stało w rękę?

- Nic, mały wypadek w pracy. - Spodziewał się od niej czegoś więcej niż współczucia.

- Nie wygląda na mały wypadek. Masz zakrwawiony bandaż.

Położył skaleczoną rękę na kolanach. W tej pozycji mniej bolała.

- Moja wina - rzekł zgodnie z prawdą. - A ty co robiłaś przez cały tydzień?

- Pracowałam. Jak twoja randka z Candy?

- Jest bardzo miła...

- Nie bardzo rozumiem.

- Zamówiłem żabie udka. Niezłe. Coś w rodzaju kurzych, ale trudno się najeść...

- Candy przyszła do mnie do sklepu po prezent dla dziecka. Podobno znów się umówiliście.

- Tess, o czym tu mówić...?

- Ona oczekuje, że się oświadczysz.

- Że ja się jej oświadczę? Co za głupota! Prawie jej nie znam.

- Wiem wszystko, Cole. - Nie patrząc na niego, bawiła się podkładką do piwa.

- Prawdę? Jaką prawdę? - Zrobiło mu się zimno i to nie dlatego, że wieczór był chłodny.

- O twoim wielkim polowaniu na kobiety, o powodach twoich randek w ciemno.

- Wiedziałaś od początku, że szukam odpowiedniej osoby, prawda?

- Chcesz się ożenić tylko dlatego, żeby dziadek nie odebrał ci praw do firmy. Grałeś w orła i reszkę o to, w jakiej kolejności macie się ożenić. - Trzymała uczucia na wodzy, ale on słyszał w jej głosie głębokie rozczarowanie.

- Zack ci powiedział? - Jeżeli nie można wierzyć bratu, i to bliźniakowi...

- Nie, powiedziała mi o tym Candy. Przyszła do sklepu, bo chciała się pochwalić, że już prawie jest zaręczona.

- Ale tylko we własnej imaginacji.

- Jak możesz tak mówić? Wykorzystałeś mnie! Knułeś coś i nawet nie miałeś tyle przyzwoitości, żeby mi o tym powiedzieć...

- Tess, czy nie moglibyśmy o tym pogadać gdzie indziej?
- przerwał jej.

Para przy drugim stoliku przestała rozmawiać i zaczęła słuchać, o czym mówią.

- Nie ma o czym dyskutować. Więcej nie będę cię swatać. Nawet jeżeli znowu będziesz mnie potrzebował, gdy Candy sobie pójdzie.

- Nie pójdzie.

Wstając, odsunęła krzesło tak gwałtownie, że się przewróciło. Kiedy je podniósł, przewyciężając ból w ręce, Tess już nie było. Powłókł się za nią. Kiedy dotarł na parking, Tess już odjeżdżała.

- No nie - szepnął.

Jedzie na pewno do domu. Uruchomił samochód i, niezgrabnie prowadząc jedną ręką, ruszył za nią. Udało mu się dojechać na osiedle tuż za nią.

.- Chcę z tobą porozmawiać! - wrzasnął, wysiadając z samochodu.

Jednak się zatrzymała. Dogonił ją.

- Candy słyszała, jak rozmawialiście z Zackiem w przyczepie na budowie. Musisz się ożenić, żeby odziedziczyć firmę po dziadku. Na szczęście nie udało ci się wpakować mnie w coś takiego.

- Ja nie...

Odrzuciła się i pobiegła do domu, ale on ją dogonił.

- Nie dałem ci żadnego powodu, żebyś się tak wściekała.
- Próbował przemówić jej do rozsądku. Nigdy nie pragnął żadnej kobiety tak bardzo jak jej. . . . '

- Czy jesteś zła, że pozwoliłem, aby mój dziadek zrobił nas obu z Zackiem w...

- To nie moja sprawa.

- A może dlatego, że Candy opowiada o naszych randkach? Dlatego?

Chciał jej wytłumaczyć, że nienawidzi machinacji dziad-

ka. Niech wie, że robi to tylko dla matki, ale to, czego chciał, w tej chwili nie miało dla Tess żadnego znaczenia.

- Możesz nawet jutro żenić się z Candy!

- Umówiłaś się z tym głupim Ronem! Jak myślisz, czemu poszedłem do Chez Henri?

- Ron jest miły. Nie obchodzi mnie, po co tam przyszedłeś z Candy.

Stała przy drzwiach z wyciągniętym kluczem. Było jasne, że znowu zatrzaska mu drzwi przed nosem.

- Tess, ja nie kłamałem.

- Na pewno nigdy mi nie powiedziałaś, że dziadek zmusza cię, byś się ożenił. Nie powiedziałaś prawdy. To znaczy, że kłamałeś. Wcale się nie zmieniłeś od czasów szkolnych. Zawsze chciałeś się dobrze zabawić, żeby tylko tobie było przyjemnie.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Nie masz prawa wymagać, żebym ci pomogła znaleźć żonę. A w bilard zawsze cię pobiję. Ile razy zechcę. Oszukiwałeś!

- Jak to?

- Udawałeś, że mi pomagasz! Próbowaleś tej samej sztuczki, kiedy grałam z Ronem. Gdybyś mi nie przeszkodził, tobym nie musiała iść z nim na kolację.

- Miałem poważne powody....

- Nie chcę tego słuchać. - Otworzyła drzwi. - Idź sobie! Ale już! - Weszła do środka.

Mógł wejść za nią tylko na siłę, lecz tego by nigdy Tess nie zrobił. Zamknęła drzwi. Zabolało go to bardziej niż skaleczona ręka.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cole wpadł do restauracji spóźniony, ale matka czekała.

- Musiałem skończyć parę rzeczy - wyjaśnił. - Mamy jeszcze do sprzedania tylko dwa domki. A gdzie Zack? Wyjechał z budowy przede mną.

W piątki, co parę tygodni, spotykali się we trójkę w jednej z restauracji. W ten sposób mogli się widywać, unikając uroczystych obiadów z Marshem.

- Nie przyjdzie. Chyba nie chce się z tobą spotkać - odpowiedziała matka.

- Dlaczego? - Wiedział dlaczego, ale wolał udawać przed samym sobą, że jest inaczej.

- Mówi, że dziwnie się zachowujesz.

- Zawsze dużo gadał.

- Mówił, że poznałeś jakąś dziewczynę.

Cole zerknął w kartę dań, chociaż znał ją już prawie na pamięć.

- Odnowiłeś przyjaźń z dawną znajomą, tak się wyraził. - Wypiła całą szklankę mrożonej herbaty. Wiedział, że matka udaje brak zainteresowania jego sprawami miłosnymi.

- Trafnie to ujął - rzekł sarkastycznie. - Ładnie dziś wyglądasz. - Próbował zmienić temat rozmowy.

- Nie zmieniaj tematu. Co z Tess?

- Nie widziałem jej od paru tygodni. - Nie chciał mówić

o tym, że trzydzieści razy wsiadał do samochodu, chcącjechać do jej domu.

- No tak. - Matka udawała, że uważnie studiuje menu, chociaż wiadomo było, że na pewno zamówi bukiet z jarzyn.

- Według Zacka łązisz i wyglądasz niczym porzucony smętny szczeniak.

- Zack tak powiedział?

- Porzuconego szczeniaka dodałam od siebie.

Żartowała, ale Cole wcale nie był w nastroju do żartów. Skinał na młodą rudowłosą kelnerkę i obdarował ją najlepszym uśmiechem, jaki był w stanie zaprezentować.

- Cole...

— Mamo, czy kiedyś widziałaś, żebym ja - albo na przykład Zack - żeby któryś z nas rozpaczał z powodu dziewczyny? Widziałaś?

- Chyba nigdy, ale kiedyś obaj łamaliście dziewczęce serca. Dlatego teraz tak bardzo cię nie żałuję.

Kelnerka przedefilowała wreszcie przed ich stolikiem.

- Czy mogę już przyjąć zamówienie?

- A czy ma pani na pewno chwilkę czasu? - warknął Cole. Zdumiało go, że matka szturcha go w nogę czubkiem buta. Zamówił dla niej bukiet z jarzyn, a dla siebie kotlet wieprzowy.

- Od kiedy kopiesz ludzi pod stołem? - poskarżył się, gdy ruda piękność odpłynęła od stolika.

- Od czasu, gdy jeden z moich synów jest niegrzeczny dla kelnerek.

- Kazała nam czekać, bo musiała flirtować z jakimś chłopakiem - odpowiedział, ale zdawał sobie sprawę, że jego zły humor nie ma nic wspólnego z zamawianiem obiadu. Chciał

szybko zjeść i uniknąć dalszego przepytывania przez matkę. Na szczęście kelnerka przyniosła dania szybko. Zajął jedzeniem, podczas gdy matka opowiadała o Nicku i firmie.

- Powiedz mi - zwróciła się do Cole' a, gdy skończyła ten temat - kogo zawiozłeś do szkoły na wręczenie dyplomu?

- Była to dziewczyna, która krótko wcześniej przyjechała z Karoliny Południowej. Nazywała się tak jakoś... Beth Ann... tak, Beth Ann Hardy. Wracasz, jak widzę, do starożytności.

- Zawsze byłam zdania, że powinieneś być poprosić Tess.

- Tess dawała mi korepetycje. Nie była moją sympatią.

- Nigdy nie czułem się zobowiązany wyjaśniać, czemu się umówił akurat z tą dziewczyną, a nie z inną, więc teraz mu się to nie podobało.

- Bardzo dużo dla ciebie zrobiła tylko po to, żebyś był dla niej miły. Chciałam jej płacić, ale stanowczo odmówiła. Udało jej się dokonać cudu i doprowadziła do tego, że się zainteresowałeś Szekspirem. Dobry stopień z literatury był ci bardzo potrzebny. Nie skończyłbyś szkoły bez tego.

- Rzeczywiście zainteresowała mnie Szekspirem - przyznał cicho.

Pomyślał, że nie pamięta, czy wtedy miał dla niej jakieś cieplejsze uczucia. Na pewno nie była podobna do tych napałonych dziewczątek, z którymi się zwykle umawiał, ale może, gdyby nie to, że starał się dorównać Zackowi...

- Myślenie, że nie widziałeś, jak bardzo jej na tobie zależało.

- Tess? Nie, nic takiego nie było.

- Nie była aż taka pewna siebie, by ci to okazać, ale to nie znaczy, że jej nie zależało. Tyle czasu wbijała ci „Mak-beta” do głowy...

- Czy ci to powiedziała? Czy mówiła, że chciała się ze mną umówić? Że chciała iść ze mną na bał maturalny?

- Nie musiała mówić. Widziałam to w jej oczach, kiedy na ciebie patrzyła.

- Mamo, muszę już iść.

Pocałował ją w policzek i szybko wyszedł. Zapomniał, że zostawia matkę z rachunkiem do zapłacenia.

Tess nigdy nie liczyła czasu w pracy, ale w tę sobotę przebywanie w sklepie strasznie się jej dłużyło. Zazwyczaj nie pracowała w soboty wieczorem i do zamknięcia sklepu upoważniała jedną ze swoich pracownic. Teraz pozostało jej tylko włączenie alarmu przeciwłamaniowego, przygaszenie świateł i opuszczenie stalowej kraty w drzwiach do sklepu. I to tyle...

- Cześć, Tess, miałem ci to dostarczyć tuż przed zamknięciem sklepu.

Russ był właścicielem kwaciarni w drugim końcu galerii. Wpadł do sklepu, kiedy Tess włączała nocne światła. Wręczył jej pudło ze złotym logo na wierzchu.

- To wspaniałe - powiedziała, zaskoczona przesyłką.

.... - Spójrz tylko. Sam to zrobiłem.

Ostrożnie podniosła wieko i ujrzała bukiet żółtych róż.

- Jaki śliczny! - Biletu wizytowego nie było.

- Będzie wielka randka? - spytał Russ.

- Nie, nie ma mowy.

- W każdym razie życzę szczęścia.

- Zaraz, a kto to przysłał?

- Tajemnica handlowa - zażartował Russ i wyszedł.

Ucieszyły ją te kwiaty.

- Podobają ci się? - Usłyszała nagle. Ktoś wyszedł z księgarni naprzeciwko.

- Ooo!

Popatrzyła na niego. Wydał jej się jeszcze bardziej przystojny niż zwykle. Ciemne włosy odgarnął na bok. Był wysoki, ale wydawał się jeszcze wyższy w elegancko skrojonym, ciemnoszarym garniturze i białej koszuli. Krawat miał w paski, chyba szaro-żółte.

- Pamiętałem, że lubisz żółty kolor.

- Tak, ale... - Patrzyła to na niego, to na pudełko z kwiatami.

- To ty je przysłałeś?

Skinął głową, ale z jego twarzy trudno coś było wyczytać.

- Dlaczego?

- Czy już wychodzisz?

Pomógł jej włożyć granatowy płaszcz od deszczu, potem ją objął i skierował do wyjścia. Całe to jego zachowanie bardzo ją zmieszało. O co chodziło?

- Dziękuję za kwiatki - powiedziała - ale nie rozumiem, dlaczego mi je przysłałeś.

- Zrozumiesz.

Przycisnął ją do siebie i to na chwilę odwróciło jej uwagę.

Deszcz przestał padać, lecz w ciemnościach mokra powierzchnia opustoszałego parkingu połyskiwała odbiciem świateł. Jak na tę porę roku było wyjątkowo chłodno. Tess odetchnęła świeżym, wilgotnym powietrzem i poczuła miły zapach męskiej wody po goleniu. Rozejrzała się za półciężarówką, ale na parkingu stał jedynie mustang Zacka.

- Pożyczyłeś samochód od brata. Czemu?

- Żeby cię zabrać na dancing.

- A skąd wiesz, że nie mam w planach czegoś ciekawszego? Może jestem z kimś umówiona albo.
- Jesteś umówiona?
- Nie, ale.
- Proszę cię, pozwól, że ci zrobię niespodziankę.
- Nie jestem odpowiednio ubrana, żeby gdzieś chodzić.
- W tym sweterku wyglądasz ślicznie, a moim zdaniem zawsze wyglądasz wspaniale. Bez względu na to, w co się ubierzesz.

Oczywiście nie mogła jednocześnie skakać z radości, a zarazem być skwaszona i podejrzewać go o jakieś niecne zamiary.

- Dobrze, możesz mi zrobić niespodziankę, ale ja nadal nic nie rozumiem.

Spojrzała na kwiaty. Dotknęła aksamitnych i miękkich maleńkich różyczek końcem palca i to nagle przypomniało jej o skaleczonym palcu Cole'a. Ciągle jeszcze nosił bandaż.

- Co z twoją ręką? - spytała, kiedy już wsiedli do samochodu.

- Ładnie to nie wygląda, ale się goi. - Podniósł powoli zabandażowany palec. - Dziękuję, że pytasz.

W samochodzie, po ciemku, nie widziała jego twarzy, lecz w jego głosie było coś jeszcze bardziej zagadkowego niż we wręczonych przed chwilą kwiatach. Nigdy jeszcze nie brzmiał tak głęboko, tak delikatnie, tak... Prawdę powiedziałwszy, na wskroś tętnił uczuciem.

- Jeżeli ma to coś wspólnego z Candy... - powiedziała, bo dalej nie chciała uwierzyć, że Cole naprawdę jest nią zainteresowany.

- Nie. Nasza druga randka nie była specjalnie udana.

- Tak? Nie bawiliście się dobrze? - Ulżyło jej, lecz starała się to ukryć.

- Nie bardzo ją interesował mój główny temat: chciałem mówić o tobie.

- O mnie? - Załamał jej się głos.

Nie odpowiedział. Swoim milczeniem skazał ją na męki. Uśmiechał się tylko przebiegle. A może jej się tylko tak zdało, kiedy obserwowała jego profil w ciemności. Jechali przez miasto, mijając osiedla dobrze utrzymanych domków, ale Tess zbyt była podniecona, by zorientować się, gdzie są.

- Dokąd właściwie jedziemy?

- Zaraz zobaczysz.

Wkrótce zaczęła rozpoznawać znajome miejsca: kościół z białą wieżą, wejście do przychodni, znak ostrzegawczy szpitala. Gdy zajechali na parking dla nauczycieli, wiedziała już, gdzie są, ale nie wiedziała, dlaczego tu przyjechali.

- Nasza stara szkoła! - wykrzyknęła zdziwiona. - Ale po co, na miłość boską, tu przyjechaliśmy?

- Czy wiesz, że obecnie jest to liceum? Obaj z Zackiem pracowaliśmy tu nad przebudową laboratoriów, jak tylko założyliśmy naszą firmę.

Cole Bailey mógłby napisać podręcznik na temat tego, jak nie udzielać odpowiedzi. Wsiadł i obszedł samochód, żeby jej pomóc.

- Co tu będzie?

- Włamiemy się do środka.

- Nie możesz być poważny?

- No, wpuści nas woźny. Musi tu być, gdy wynajmuje się salę gimnastyczną. Mamy szczęście, że nikt jej wcześniej nie wynajął.

- To znaczy, że ty ją wynająłeś?
- Tak, i jestem z tego bardzo dumny.

Wszedł bocznym wejściem i zastukał w szybę oszklonych drzwi.

- Zupełnie jak dawniej - szepnęła podenerwowana.

I w chwili, kiedy doszła do wniosku, że jest to po prostu żart, drzwi otworzył niski mężczyzna z siwym zarostem na kwadratowej twarzy.

- Cole Bailey. Wynająłem na wieczór salę gimnastyczną.
- Tak, proszę pana. Pójdę przodem i zapalę światło.
- Niech pan nie zapala górnych lamp, tylko te dolne, przyćmione, na scenie.
- Jak pan sobie życzy.

Szli dobrze znanym korytarzem, między zielonymi szafkami. Obecni uczniowie byli w innym wieku, ale poza tym nic się tu nie zmieniło. Pachniało tak samo jak zawsze, szafki zawalone były wszystkim, poczynając od przepoconych koszulek gimnastycznych i skarpetek, a skończywszy na podartych papierach. Czuła nawet zapach ciepłych dań, które się kupowało w bufecie. Lubiła makaron posypany serem, zawsze z dodatkiem marchwi.

Nie trzeba było wielkiego wysiłku, by wyobrazić sobie grupki przyjaciółek stłoczonych przy szafkach, które wymieniają między sobą pomadki do ust i plotkują, jak to dziewczyny, o chłopcach. Zrobiło jej się żal, że nie widzą jej teraz, kiedy tak idzie z Cole'em Baileyem.

- Cole, to głupota! - szepnęła. Woźny poszedł na drągi koniec ciemnej sali. Wszedł po stopniach na scenę, której teraz nie zasłaniała kurtyna. Gdy zabłyśły lampy, zrobiło się na tyle jasno, że całe to pomieszczenie, lekko od dołu pod-

świetlone, nabrało romantycznego wdzięku. Cole ścisnął jej rękę, było całkiem przyjemnie.

W środku sali stał prostokątny stolik przeniesiony z bufetu. Nakryty był białym obrusem i udekorowany żółtymi kwiatami i zielonym asparagusem. W środku stała duża żółta dynia. Dokoła wazy z ponczem znajdowały się małe pucharki, zabawne serwetki koktajlowa i talerz pełen malutkich ciasteczek. Cole pomyślał nawet o papierowych rożkach pełnych cukierków miętowych i orzeszków.

Prawie nie zauważyła, że pomógł jej zdjąć płaszcz. Weszli na scenę. Cole włączył magnetofon, który stał gotowy do uruchomienia, i na salę cicho popłynęła melodia pełna obietnic i emocji.

- Co się dzieje... ? - Oczy zaszyły jej mgłą, nie poznawała swojego głosu.

- Powinniśmy tu byli przyjść dziesięć lat temu, kochanie.

Znalazła się w jego ramionach, zanim pojęła, co naprawdę znaczą te słowa. Poruszali się w takt muzyki, tak jakby dla nich dwojga grała prawdziwa orkiestra.

- Cole...

- Straciliśmy wiele czasu, bo nie umiałem pojąć, że obok jest dziewczyna przeznaczona dla mnie.

Obejmował ją mocno. Poruszali się tak powoli, że prawie tego nie czuli.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę straciła mowę.

- Nie potrafiłem wykorzystać szansy na balu maturalnym - powiedział ciepło. - Więc teraz mamy nasz bal.

- Cole, wciąż nie mogę uwierzyć, że to rzeczywistość.

Nigdy nie czuła się tak cudownie. Kiedy jego usta dotknęły jej czoła, uznała, że to chyba najważniejszy wieczór w jej

zyciu, mimo ciągle jeszcze dręczących ją wątpliwości. Czy to działa się naprawdę? Czy Cole zrobił tak, ponieważ... Nawet nie śmiała marzyć, że jej sny się ziszcza.

A teraz ją obejmował i nawet nie udawał, że tańczy. Słyszała jego oddech, potem ich usta się zetknęły, delikatnie i cudownie. Całował ją długo.

- Czy mi przebacysz? - wyszeptał.

Nie mogła sobie przypomnieć, co miałyby mu przebaczyć teraz, gdy obejmował ją, a jego usta wędrowały po jej twarzy, muskając brwi, powieki, policzki i koniuszek nosa.

- Chyba - westchnęła, ale to znaczyło: tak, oczywiście, tak! Wybaczam!

To było po prostu niemożliwe! Cole uwodził ją w tym samym gmachu, w którym przed laty straciła dla niego serce.

- Nie chcę ci pognieść sukienki - rzekł i nieznacznie się odsunął.-

Drżała na całym ciele.

- Co ci przyszło do głowy z tym balem? - spytała, przeżona tym, co się z nią dzieje w jego ramionach. Teraz już nigdy nie będzie mogła udawać, nawet przed sobą, że go nie kocha.

- To nieważne, jeśli tylko ci się podoba - odrzekł.

;'•— Jest cudownie.

Miał rację - to nie miało żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, tylko to, co działo się między nimi.

Całował ją długo i mocno, palcami czesał jej włosy. Usta nabrzmiały jej od pocałunków.

Muzyka przestała grać, a oni przestali udawać, że tańczą. Przytuliła się do niego, czuła jego ciało, które dawniej mogła sobie tylko wyobrażać - mocną klatkę piersiową, twardo

sklepiiony brzuch. Znała go tak długo- a jednak tak mało. Pragnęła go.

- Poczęstuję cię ponczem - powiedział. Głos miał tak zmieniony, że prawie go nie poznawała.

Już była oszołomiona, ale mimo to wypłała poncz, który jej podał.

- To jest pyszne. Sam zrobiłeś?

- Z niewielką pomocą. Właściwie nie muszę wcale pić, bez tego czuję się cudownie.

Cole, który nie pije, był dla niej kimś nowym, ale to się jej spodobało. Odstawiła swój pucharek, zanurzyła łyżkę w wazie, nalała mu do jego pucharka i podała. Popijali, uśmiechając się do siebie, słowa stały się zbyteczne. To było jak piękny sen.

- Zaledwie zaczęliśmy tańczyć... - powiedział miękko.

Odstawiła pucharek i wyciągnęła do Cole'a ręce.

- A muzyka nie jest ci przypadkiem potrzebna?

Słyszała upojne melodie, wyczarowane przez miłość, która nią zawładnęła. Prawdziwe dźwięki rzeczywiście nie były jej potrzebne, ale ucieszyła się, gdy włączył taśmę z najcudowniejszymi melodiami tanecznymi z całego świata. A przynajmniej tak jej się zdawało.

Wirowali dokoła sali. Nie przeszkadzało jej, że nie pała się lampy, że inni tańczący nie tłoczą się na parkiecie, że nie ma tłumu widzów i nie słyszą ich rozmów. Słowu „bal” Cole nadał nowe znaczenie.

Nie wiedziała, czy trwało to kilka minut, czy kilka godzin. Kiedy trzeba było kończyć, ledwie zauważyła woźnego, który stanął w drzwiach. Wyszła z pustego gmachu z pełnym blasku wspomnieniem tych cudownych chwil.

Mgła gęstniała, gromadziła się w zagłębieniach terenu, zacierając kontury ulic.

- Nigdy nie wiadomo, co czyha w takiej mgle - szepnęła trochę przestraszona.

- Duchy i upiory, a także różne rzeczy, które mogą cię walnąć po ciemku. - Śmiał się, a ten jego śmiech znów wywołał u niej dreszcz.

Starła się to jakoś opanować. On tymczasem obszedł samochód i otworzył drzwi.

To niedobrze, bardzo niedobrze... Jeżeli to zrobisz, już nigdy nie będziesz taka jak dawniej, dźwięczały jej w głowie słowa zasłyszanej piosenki. Mimo to nie chciała, by jakieś przywidzenia zepsuły ten piękny wieczór. Podała ramię Cole'owi i uśmiechnęła się do niego. Stanęli przed wejściem.

- Daj mi klucz. - Wyciągnął rękę.

- Po co? Sama otworzę.

- Nie chcę, żeby mi znowu drzwi trzasnęły przed nosem.

Wejdem pierwszy.

Podała mu pęk kluczy. Ręce jej drżały.

To on zapalił lampę stojącą obok kanapy. Zdjął jej płaszcz z ramion, odgarnął włosy i pocałował w odkryty kark. Obróciła się gwałtownie i spojrzała mu w twarz.

- Cole, myślę...

- Nie myśl.

Usta miał słodkie i mocno przyciskał ją oburącz. Poprzednie pocałunki były niczym w porównaniu z tym, jak całował teraz. Nie była w stanie nie odpowiedzieć... nie mogła.

- Proszę cię, przestań - błagała.

- Czemu?

- To ja pytam: czemu! Czemu to robisz? - spytała.

- Ponieważ cię kocham. Ponieważ jestem w tobie zakochany. Tylko o tobie myślę i śnię.

Tak ją to zdumiało, że wyjąkała z trudem:

- Kochasz... mnie... ale...

- Wiem. Jestem idiotą. Zajmowałem się innymi dziewczętami, chociaż wiedziałem, że tylko ty jesteś mi przeznaczona.

- Ale... ale...

- Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa, Tess. I żebyś mnie kochała.

- Ja już cię kocham. Kocham cię, Cole. - Powiedziała to w sposób bardzo rzeczowy, zupełnie nie tak, jak sobie zawsze wyobrażała wyznanie miłosne.

- Przykro mi tylko, że tak długo trwało, zanim to zrozumiałem. - Pocałował ją delikatnie. - Chcę się z tobą kochać, Tess...

- Teraz? To znaczy, ja nie... ja...

- Rozumiem. Nigdy tego jeszcze nie robiłaś, więc się boisz.

- Nie boję się!

Czy mogła jeszcze coś mówić, kiedy on bez przerwy ją całował? Czy coś jeszcze miało znaczenie, kiedy ją obejmował i szeptał jej imię jak czarodziejskie zaklęcie i pieścił jej ciało? Przeszli do sypialni.

Już nie było czasu na wahania czy wątpliwości. Położył marynarkę na fotelu blisko toaletki i wyjął coś z kieszeni. Zauważyła ten ruch.

- A więc z góry założyłeś, że tak będzie!

- Założyłem, że ci powiem: kocham cię, Tess. Nigdy, ale to nigdy, nie powiedziałem tego żadnej kobiecie. Jeżeli

chcesz, żebym odszedł, to pójdę. I tak cię będę kochał... to nie zmieni w niczym mojej miłości. Kocham cię bardziej, niż sądziłem, że to możliwe.

Serce zabiło jej mocniej. Zrobiło jej się lżej na duszy. Wierzy mu, tak, naprawdę mu wierzy.

Objęła go mocno. Zsunęli się na łóżko. Całował ją.

- Tess, piękna Tess trochę się wstydzi...

Oboje zrzucili z siebie ubrania. Leżeli na łóżku. Pieściła jego włosy, a on ją całował.

- Kocham cię - powiedział.

- Ja też cię kocham.

- Wyjdiesz za mnie, Tess?

Nawet tej pełnej niespodzianek nocy nie oczekiwała takiego pytania.

- Wyjść za ciebie? Chcesz się ożenić, żeby mieć spokój z dziadkiem. - Musiała mu to powiedzieć, inaczej ta sprawa nie dałaby jej spokoju.

- Nie! Wcale nie! - Oparł rękę na łokciu i patrzył na nią tymi swoimi ciemnoszarymi oczami. Chciała, żeby to była prawda.

- Ale jest przecież firma dziadka...

- Wcale jej nie chcę!

- No to dlaczego...?

Westchnął.

- Powiniennem ci być powiedzieć już wcześniej, zanim cię prosiłem, żebyś umawiała ze mną te dziewczyny.

- Ale nadal nie rozumiem, czemu mnie o to prosiłeś.

- W pierwszej chwili wydawało mi się, że to dobra myśl - powiedział. - Chyba się wstydziłem, że w takiej sprawie zdawałem się na zakład, a potem wstydziłem się przyznać,

że... Wydawało mi się, że dzięki tobie poznam inne porządne dziewczyny. Mój dziadek Marsh ma fobię na punkcie kobiet od czasu, kiedy jego brat wyjątkowo źle się ożenił. Oczywiście, on uważa, że porządna dziewczyna to naiwna panienka.

- Trudno znaleźć taką powyżej lat szesnastu - powiedziała trochę cynicznie, bo nie zamierzała rozwiązywać jego problemów z dziadkiem.

- Im więcej dziewczyn poznawałem, tym bardziej czułem, że nic z tego nie będzie. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że ożenię się tylko wtedy, jeżeli zakocham się po uszy.

- Nadal nie rozumiem. Bałeś się, że stracisz pieniądze po dziadku?

- Nie, nie o to chodzi. Dziadek chciał nas zmusić, żebyśmy zajęli się firmą. Uważa, że jeżeli mu ulegniemy, to również weźmiemy na siebie część odpowiedzialności za firmę, że przynajmniej zajmiemy miejsca w zarządzie. Może kiedyś Nick rzeczywiście to zrobi, ale my obaj z Zackiem mamy inne plany.

- To dlaczego robisz to, czego chce dziadek?

- Bo on grozi, że sprzeda wszystkie udziały, które mielibyśmy odziedziczyć. To znaczy, że obcy ludzie zaczną kontrolować firmę, a najprawdopodobniej od razu wyrzucą moją mamę. Tymczasem dzięki firmie jakoś dała sobie radę po śmierci mojego ojczyma. - Usiadł i oparł podbródek na kolanach.

- A więc dlatego musisz się ożenić...

- Mam dosyć gierki dziadka. Wyrzucił mojego ojca z domu. Powiedział, że albo go zamknie, albo ma się wynieść.

- Cole, strasznie mi przykro... - Usiadła i objęła go.

- Przyzwyczailiśmy się do tego. Mamy wspaniałą matkę.

Mieliśmy też szczęście, że nasz ojczym był przyzwoitym człowiekiem, więc się nie skarżę. Mam tylko dosyć machinacji dziadka. Niewiele brakowało, a dla jego przyjemności ożeniłbym się z jakąś inną dziewczyną i nigdy bym się z tobą nie spotkał.

- To fajnie, że się jednak spotkaliśmy. - Przytuliła policzek do jego ręki. - Ostatecznie wszystko ułożyło się dobrze.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie?

- Muszę ci coś wyznać.

- Lubię, jak się rumienisz.

- W szkole bardzo na ciebie leciałam.

- Nie żartujesz? - Pocałował ją w czubek nosa,

- Dobrze wiesz! Dlatego urządziłeś to przedstawienie z balem maturalnym.

- Ale wtedy nie wiedziałem. Jestem niezbyt pojętny.

- Ja też nie jestem doskonała.

- Tylko mi nie mów, że masz całą szafę pełną misiów i innych zwierzątek.

- Mam tylko jedno. Jest to mały brązowy pudełek, który mieszka w pudełku po butach na półce w szafie.

- Jeżeli jest twój, to może nawet spać w łóżku... byle nie między nami.

- W żadnym razie!

- To dobrze, bo łóżko jest w sam raz na nas dwoje. A te koniki na karuzeli powinny szybko zniknąć z twojej kołdry.

- Myślałam o czymś innym, może na przykład dobre byłyby tygrysy wyglądające zza drzew.

- Byle nie krowy!

Nie odpowiedziała, bo przygarnął ją do siebie i pocałował mocno.

EPILOG

Cole wiedział, że uśmiecha się jak dureń, ale nie potrafił przestać. Kto by pomyślał, że wesele może być taką fajną rzeczą!

Oczywiście to było ich wesele. Tess uśmiechała się do niego, gdy tańczyli. W jej oczach była miłość i obietnica.

- Moj tata szalenie cię polubił. Bał się, że nigdy nie wyjdę za mąż - zażartowała.

- A jak to sobie wyobrażał, skoro wychował córkę na mistrza bilardu? - Objął ją mocniej i musnął jej czoło ustami.

- To ładnie z twojej strony, że poprosiłaś Lucindę na druhnę - powiedział i roześmiał się.

- Dzięki niej się spotkaliśmy. Kiedy ją zapraszałam, to nie wiedziałam, że przed świętami będzie gruba jak beczka.

- Tess też się roześmiała, ale nie złośliwie, chociaż w ciemnoczerwonej sukni z welwetu Lucinda przypominała trochę Świętego Mikołaja.

— Czy mam już za sobą wszystkie zwyczajowe obrzędy? - zapytał.

- Zaraz, zastanówmy się. Kroiliśmy tort...

- I pomazałaś mi nos kremem.

- Przesadzasz.

- Ja przesadzam?

- Rzuciłeś moją podwiązkę! Zaraz oberwiesz!

Zasłonił się w ostatniej chwili.

- Chyba wszyscy się dobrze bawią - powiedział.

- Miałeś rację, wybierając tawernę „U Bucka” na nasze przyjęcie.

- Właśnie, jest dużo miejsca do tańczenia, bo część stołów odsunięto pod ściany.

- Ale tylko my tańczymy!

Goście stali przy stołach bilardowych. Odgłos uderzeń zagłuszał chwilami orkiestrę.

- Mogę prosić? - Dziadek Marsh też był uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Z przyjemnością — odparła Tess.

Dzięki temu, że tańczyła z kimś innym, Cole mógł podziwiać gładką jedwabną suknię ślubną Tess, sięgającą samej ziemi. Bez wstążek i koronek. Tess była najpiękniejszą panną młoda, jaką w życiu widział.

Marsh przyprowadził Tess.

- Muszę przyznać - powiedział - że było mi przykro, kiedy wy, dzieciaki, nie daliście mi urządzić przyjęcia weselnego w ekskluzywnym klubie, ale okazało się, że tu jest lepiej niż gdzie indziej.

- Dziękuję, dziadku. - Tess użyła tego zakazanego zwrotu, ale stary się rozpromienił. Pocałowała go w policzek.

- Bilard jest bardzo fajny, chociaż Nick wlepił mi trzy razy pod rząd. - Podeszła do nich zarumieniona matka Cole'a. Miała na sobie krótki żakiecik, który świetnie prezentował się z jej suknią. - Szkoda, że jak wy, chłopcy, dorastaliście, nie mieliśmy takiego stołu. Teraz, kiedy Nick kończy szkołę, jest na to trochę za późno.

- Nic nie szkodzi, mamó. Mamy dzięki temu powód,

żeby częściej chodzić do barów - powiedział jej trzeci syn Nick, który właśnie do nich podszedł.

Lekko uszczypnęła go w ramię.

- Uwaga, proszę państwa! - krzyknął Marsh tak głośno, jak tylko on potrafił. - Niech wszystkie panienki staną w szeregu przy drzwiach do baru, tam jest dużo miejsca.

Będzie miejsce, jak długo starzy bywalcy baru nie włączą się do uroczystości, pomyślał Cole, nadal uśmiechnięty.

Matka Tess, jej siostra i matka Cole'a otoczyły półkolem pannę młodą niczym sędziowie boczni przed startem. Cole obserwował, jak niezamężne panie zbiły się w gromadkę. Bawiło go, że Tess pomagała mu znaleźć żonę wśród tych wszystkich dziewcząt.

- Zamykam oczy i rzucam!-krzyknęła Tess.

Jedną ręką zasłoniła oczy, dwa razy zakręciła bukietem nad głową i z całej siły rzuciła. Przeleciał nad głowami pań i wylądował w ramionach drużby we fraku, który właśnie wyszedł z baru. Był to Zack.

Wyraz jego twarzy mówił wszystko. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

Wśród wesołych okrzyków i śmiechu Cole znów objął pannę młodą,

